Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 19 (1755) 10–16 maja 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Szmydt bawi na Białorusi str. 3

Für Deutschland nad Wisłą str. 8

Nigdy nawet miligrama

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl f5a368e4e4

WOJNA DOMOWA

Poniedziałek po majówce miał być ostrym startem kampanii europarlamentarnej, ale nie wyszło. Najpierw minister Kierwiński przemówił do strażaków, a później sędzia Szmydt przemówił do Łukaszenki – i cała impreza poszła się jebać. Nikt już nie pamiętał o przyszłości Europy.

Więc było tak: minister spraw wewnętrznych wystąpił na dorocznym święcie strażaków i przemawiał cokolwiek niewyraźnie. Marcin Kierwiński wyjaśnia, że to efekt marnego nagłośnienia, acz wewnętrzni wrogowie Polski ogłosili, że minister był „napruty jak Messerschmitt" (Protasiewicz) lub „napruty jak kuter" (Brudziński). A cóż się stało z „najebany jak sztanga mydła", „nawalony jak autobus do Płońska", „narąbany jak stodoła po żniwach"? Nie sugerujemy oczywiście, że minister był w którymkolwiek z tych stanów, upominamy się tylko o bogactwo metafor porównawczych.

Nie sugerujemy tym bardziej, że minister (który najpewniej już zaraz przestanie być ministrem, bo dostał jedynkę do PE na warszawskiej liście Platformy i musiałby nie taką manianę odstawić, żeby przerżnąć) zagroził wszystkim procesem, a uzbrojony jest w wydruk z komendy rejonowej policji, z którego wynika, że dmuchał dziewięć sekund i wydmuchał zero promili. Zaświadczenie wystawiła aspirant Ewa Burnett. „Fakt" „ruszył jej tropem" i ustalił, że naprawdę istnieje i pracuje od 12 lat na Komendzie Rejonowej Warszawa-Mokotów. I wcale nie ma powodu, żeby uważać, że jej kariera jest opóźniona, albowiem, żeby dojść do stopnia aspiranta musiała przejść przez posterunkowego, starszego posterunkowego, sierżanta, starszego sierżanta, sierżanta sztabowego i młodszego aspiranta – aczkolwiek szczerze liczymy na to, że teraz awansuje. Po tym, co zrobił jej minister, rzucając ją na pożarcie brukowcom, dziewczynie się po prostu należy.

Jeszcze większym wydarzeniem była wycieczka sędziego wojewódzkiego sądu administracyjnego na wschód. Sędzia Tomasz Szmydt, znany najpierw z bycia człowiekiem Ziobry i mężem „Małej Emi", a później – ze skruchy, z jaką opowiadał o aferze hejterskiej na każde zawołanie Platformy Obywatelskiej, poszedł na urlop i odnalazł się w Mińsku, gdzie poprosił o azyl polityczny. Sędzia Szmydt miał wiele problemów osobistych, wśród których warto wymienić 600 tys. zł długu, zero majątku i byłą żonę rozsyłającą po mieście zdjęcie penisa kochanka – ale dominująca narracja nie jest taka, że facetowi odpierdoliło, tylko, że był białoruskim szpiegiem. A jak białoruskim, to na pewno ruskim, bo co tam nam Białoruś.

Komentarze byłe liczne i obfite, ale nas najbardziej zachwycił niejaki Skurkiewicz, przedtem wiceminister obrony narodowej, a dziś senator RP, który ogłosił, że jako „zdrajca, który zdradził Rzeczpospolitą" sędzia Szmydt „powinien być pozbawiony obywatelstwa polskiego w trybie natychmiastowym i pozbawiony majątku". Mamy otóż dla senatora Skurkiewicza, skądinąd dziennikarza z wykształcenia i zawodu, przykrą informację: kara banicji, bardzo popularna w czasach późnego średniowiecza, nie jest obecnie legalna. Art 34.2 Konstytucji RP stanowi, że „obywatel polski nie może utracić obywatelstwa polskiego, chyba że sam się go zrzeknie". Dla jasności dodamy, że niedopuszczalne jest także palenie na stosie, wbijanie na pal, ćwiartowanie, kamienowanie, łamanie kołem i ukrzyżowanie. Tak, gdyby senator Skurkiewicz się zastanawiał.

Wojna ante portas. Do Katowic przyjechała Ursula von der Leyen, której najwyraźniej wydaje się, że jest Churchillem. „Europa musi wydawać więcej, wydawać lepiej, i wydawać europejskie środki na zbrojenia, w ten sposób budujemy naszą przyszłość" – ogłosiła, obiecując, że jak ją znowu wybiorą na szefową KE, to powoła „pełnoetatowego komisarza do spraw obrony". Donald Tusk dodał „takie słowa, który niedawno nie kojarzyły się z Europą: obrona, siła, gotowość do walki" i wzywał do „wysiłku zbrojnego". Nas jednak najbardziej oczarował Władysław Kosiniak-Kamysz, który realistycznie ogłosił: „My nie będziemy produkować F-35, ale możemy wyprodukować amunicję: najlepszą i najbardziej dostępną". „A ile sztuk tej amunicji potrzebujemy, żebyśmy byli samowystarczalni?" – zapytali dziennikarze. „Bardzo dużo" – odparł konkretnie minister obrony narodowej.

W Katowicach, w sali Urzędu Wojewódzkiego, w której miała obradować Rada Ministrów, wykryto podsłuch. Pojawiły się sugestie, że wobec zagrożenia szpiegostwem ze wschodu należałoby zrezygnować z wyjazdowych posiedzeń rządu. Rzecznik ministra Siemoniaka Jacek Dobrzyński uspokajał, że „służby zadziałały w sposób profesjonalny i standardowy" i nie ma powodów do obaw – co naturalnie tylko wzmogło obawy. Atmosferę suspensu popsuła jednak rzeczniczka urzędu Alicja Waliszewska, która poinformowała, iż „służby zdemontowały stare elementy systemu służącego prawdopodobnie do jakiejś wewnętrznej komunikacji". Zważywszy, że gmach pochodzi z lat 20. XX wieku, „stary system wewnętrznej komunikacji" może oznaczać podsłuchiwanie wojewody Grażyńskiego przez ludzi Piłsudskiego, Ziętka na zlecenie Gierka, albo Kempskiego z woli Krzaklewskiego, ale ruscy brzmią lepiej.

AWŁ

Z URNY URBANA

Łatwiej wraca się do rzeczywistości po Wielkiej Majówce, kiedy czyta się archiwalnego Urbana. Niby czasy już nie te, kryzysu ponoć nie ma, ale… krajobraz mimo wszystko ten sam. Przypominamy felieton Urbana z kwietnia 2009 r.

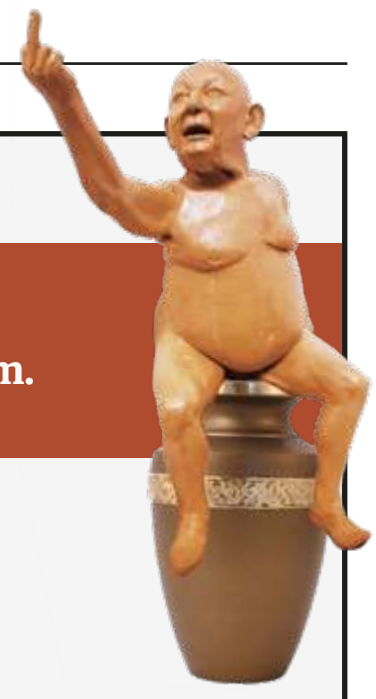

Wiwat kryzys

Ekonomiści przewidują, że kryzys gospodarczy minie. Niektórzy twierdzą, że już w przyszłym roku. Proszę im nie wierzyć. W Polsce kryzys musi trwać długo. Nie z przyczyn ekonomicznych, które są nieprzeniknione, ale ze względów politycznych. Kryzys jest niezbędny wszystkim partiom. Stanowi też dobrodziejstwo dla całego narodu. Może z wyjątkami.

Platforma Obywatelska przez długie jeszcze lata pragnie dzielnie bronić Polskę przed pogłębieniem się kryzysu, a ludność przed jego skutkami. Odnosi w tym wielkie sukcesy. To PO swą polityką sprawiła cud gospodarczy. Polega on na tym, że kryzys dotyka Polskę mniej niż niektóre inne kraje. Dzięki mądrym rządom Tuska produkcja w marcu spadła tylko o 14,3 proc., czyli mniej niż w lutym, a znacznie mniej niż powinna. W tym roku czeka nas też inny wielki sukces, gdyż eksport zmniejszy się nie więcej niż o 30 proc., a bezrobocie nie przekroczy 13 proc., chyba że trochę. Platforma energicznie zapobiegać będzie skutkom bezrobocia, np. rozdawać bezrobotnym pieniądze, aby sobie założyli firmy, a następnie obiecuje ona energicznie ratować bankrutów – wszystko za pieniądze ogółu ofiar kryzysu.

Dzięki kryzysowi PO zyskuje zrozumienie, gdy tnie środki na cele społeczne. Największy kretyn lub pisowiec zrozumieć powinien, że nie ma reform, które PO obiecywała, autostrad i obiecanego dobrobytu, z powodu kryzysu właśnie.

Prawo i Sprawiedliwość pragnie przez długie jeszcze lata winić PO za kryzys, który zresztą Platforma – zdaniem PiS – spowodowała w Polsce i na całym świecie. Trzyma się bowiem ona, ta Platforma, skompromitowanego w sposób oczywisty liberalizmu i ciągle nie jest gotowa odejść od tej doktryny – mówił prezes Jarosław Kaczyński. Rząd nie umie sobie z kryzysem poradzić, w ogóle więc odwraca się od kryzysu. „Premier powinien zająć się kryzysem, a nie recenzowaniem książek" – pisze Jerzy Robert Nowak w „Naszym Dzienniku" z 20 kwietnia, cytując historyka Antoniego Dudka. Nowak bowiem nawet w kwestiach ekonomicznych podpiera się IPN-em.

Ogólnie mówiąc, cokolwiek rząd PO–PSL czyni lub raczej mówi, że uczyni w polityce zagranicznej, społeczno-obyczajowej, kulturalnej czy jakiejś innej, PiS zagania go do kryzysu. Nie są to napomnienia szczere. Gdyby rząd posłuchał PiS-u i przegonił kryzys, zapewniając z nagła krajowi rozwój i bogactwo, partia Kaczyńskiego wpadłaby w rozpacz. Liczy bardzo na pogłębienie się kryzysu, mniemając, że wówczas zrozpaczona ludność uzna, iż nie ma już i tak nic do stracenia, w następnych wyborach znów więc przywoła PiS do rządzenia.

SLD również dostrzega w kryzysie wielkie dobrodziejstwo. Dzięki niemu nie kurczy się już elektorat lewicy. Chwilowo lewicę trapią kryzysy personalne. Kryzys gospodarczy powinien więc trwać długo, aby SLD zyskał czas na konsolidację lewicy i wykrystalizowanie się przywódcy. Zdaniem socjaldemokratów pogłębianie się kryzysu w końcu wywoła gniew mas. Wzburzą się one z powodu narastania biedy i poczucia wykluczenia z dobrobytu. Gdy zaś lewica sama stanie na nogi, postawi na nie także ogół ludzi pracy. Na ich czele pomaszeruje do władzy.

Nie tylko partie, ale także różne grupy interesów mają interes w utrwalaniu się kryzysu. Przedsiębiorcy dzięki kryzysowi mogą nie płacić dostawcom, zmniejszać płace, niekiedy szukać wsparcia u rządu. Bezrobotnym kryzys usprawiedliwia bezczynność. Zyskują też większe środki z funduszy na zapobieganie bezrobociu i jego skutkom. Bankierzy liczą na oszczędzenie pieniędzy zgromadzonych w bankach, bo kredytów udzielać zamierzają z pieniędzy państwowych, które do nich popłyną, aby kredyt nie zamierał, ale gospodarkę ożywiał i odżywiał. Chłopi radują się z tego, że ludność nierolnicza oszczędza na podróżach, kupnie mieszkań i ich wyposażeniu, nabywaniu samochodów itd., gdyż żreć każdy musi. Wzrost liczby bankrutów, zatory w rozliczeniach między przedsiębiorstwami, spory pracownicze itd. itp. zwiększają zapotrzebowanie na adwokatów i lekarzy. Gracze giełdowi chwalą kryzys, ponieważ cena akcji spada i można ich dużo kupować. Stare żony klasy średniej radują się widząc, że ich mężów nie stać już na rozwody i związane z tym dzielenie majątku, a też skąpić muszą kochankom. Dzięki kryzysowi uczącej się młodzieży nie przybywa ciężarów takich jak dodatkowe zajęcia i eksperymenty modernizujące nauczanie. Księża radują się, bo w ciężkich czasach ludzie zwracają się ku siłom nadprzyrodzonym i opłacają się Bogu resztkami pieniędzy. Właściwie trudno znaleźć grupę społeczną, która z kryzysu nie odnosi korzyści. Robotnik, weźmy, tracący część płacy zyskuje w zamian czas potrzebny mu, żeby się nudzić.

Wielka więc w gospodarce tkwić musiałaby ślepa siła przekory, żeby kryzys wziął sobie i odszedł wbrew powszechnej woli. Przytrzymamy tego naszego więźnia wspólnymi siłami. Naród polski bowiem wywołuje, wielbi i uwzniośla swe nieszczęścia, poczem żyje nimi i się cieszy. Tak było, jest i będzie.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

I co ciekawego może robić taki uciekinier na Białorusi?

Facebook

Adam Kwiatkowski: Wyskoczyć z 7. piętra budynku, zamykając przy tym za sobą okno.

Bartek Orzeł: Pomoże budować płot na granicy. Jak pisowcy zaczną uciekać na Białoruś, to Łukaszenka postawi zaporę.

Beata Staszak: Będzie jeździć po kołchozach, zakładach pracy z pogadankami o reżimie w Polsce i o zgniłym zachodzie. Potem popełni samobójstwo z żalu, że tak długo tam żył.

Anna Maria Pantera: Będzie obwożony po Białorusi jako żywy dowód, że Unia to zło.

Zbigniew Czarnecki: Za parę miesięcy godnie oddać życie za Batiuszkę.

Kamil Duszak: Może sądzić... Że jest bezpieczny.

Mateusz Chmura: Wprowadzić się na kwadrat do Seagala.

Amadeusz Andrzejewski: Ziemniaki. Wszędzie ziemniaki...

Dawid Sosnowski: Żyć długo i szczęśliwie w mieszkaniu od białoruskiego państwa.

Radosław Renifer Cichoń: Tęsknić za uśmiechniętą Polską.

Łukasz Majewski: Oni nam dają sól, bo w Polsce nie ma, a my im w zamian sędziów, bo na Białorusi nie ma.

Forum

BOG: Codziennie upajać się do nieprzytomności wolnością. Łukaszenka stawia.

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Sieć KFC** wyprodukowała perfumy inspirowane sosem barbecue. To idealny zapach dla męskich kiełbasek.
- Jak informuje Scientific Reports, **orangutany** korzystają z leczniczych roślin. Orangutany dogoniły kapucynów.
- **Diecezja sosnowiecka** poszukuje mężczyzn do seminarium. Wymagania to minimum 35 centymetrów.
- Słynna **restauratorka Magda G.** odpowie za nielegalne reklamowanie alkoholu. Magdzie G. przyznajmy, że w Polsce nie ma potrzeby reklamować alkoholu.
- **Jarosław Kaczyński** zarzucił Tuskowi minimalizm narodowy. Minimalizm narodowy cechuje brak kostki brukowej, gazu łzawiącego i policji goniącej demonstrantów.
- Berliński rząd chce oddać „za darmo" luksusową **willę wybudowaną dla Goebellsa.** Pięć piw poproszę!

MARTA M.

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl f5a368e4e4

Szmydt bawi na Białorusi

Co mówią o ucieczce polskiego sędziego w jego nowej ojczyźnie.

Konferencja prasowa sędziego Tomasza Szmydta w Mińsku spowodowała natychmiastowe wzmożenie polskich mainstreamowych mediów, ale na samym początku ich pracownicy nieco zlekceważyli sytuację. Pierwsze reakcje nie wykraczały poza granicę narracji „bał się, że go złapią za dupę, więc uciekł na Białoruś, no bo dokąd miał uciec?". Wystarczyło jednak parę godzin, by przede wszystkim dysponenci mediów lojalnych wobec władzy zorientowali się, że wpadła im w ręce kura, która, jak ją dobrze przycisnąć, będzie znosiła złote jaja aż do wyborów europejskich.

Lata poprzednie, czyli które?

I nagle Szmydt z drobnego, wstrętnego aferzysty hejtera zamienił się nieledwie w demiurga pisowskiego fragmentu sceny politycznej. Ktoś poszedł po rozum do głowy i popatrzył, do jakich informacji Szmydt miał dostęp i jak można to interpretować. I się zaczęło.

Sikorski nazwał go zdrajcą, podobnie jak Tusk i inni ich koledzy. Premier zarządził też pilne spotkanie z szefami służb. Tusk oznajmił, że tematem będą „domniemane wpływy rosyjskie i białoruskie w polskim aparacie władzy w poprzednich latach".

Warto na chwilę zadumać się przy tym zdaniu, a szczególnie przy fragmencie „poprzednie lata". Pan premier z pewnością myśli o poprzednich ośmiu latach, ale być może badacze tematu nie zechcą zatrzymać się na wyznaczonym terminie. Nie mój problem, na szczęście. W każdym razie kierunek został wyznaczony i można oczekiwać, że w najbliższych dniach będzie dmuchany przez prorządowe media.

Tusk dodał też: „Białoruskie służby pracowały z osobą, która miała bezpośredni dostęp do ministra sprawiedliwości, która była odpowiedzialna za niszczenie systemu sędziowskiego w Polsce, która miała dostęp do niejawnych dokumentów, do których żaden wywiad nie powinien mieć dostępu. Relacje sędziego Szmydta z Białorusinami mają długą historię, to nie jest kwestia ostatnich miesięcy, musi budzić nasz najwyższy niepokój".

Szpieg czy bankrut

To ciekawe sformułowania, bo wskazują na dość dogłębną wiedzę premiera o sprawie zaledwie kilkanaście godzin po jej powstaniu. Obserwatorzy mogą wyciągnąć z tego dwa alternatywne wnioski.

Pierwszy: że Tusk niezwłocznie po mińskiej konferencji dostał bogate dossier o współpracy Szmydta z białoruskimi służbami, co z kolei świadczy o tym, że nasze służby od dawna go obserwowały, ale dały dupy, ponieważ im po prostu uciekł. Kompromitacja na niesłychaną skalę.

Drugi możliwy wniosek jest taki, że

premier mówi coś, o czym nie ma pojęcia, tylko po prostu próbuje wepchnąć zbiegłego sędziego w aferę szpiegowską, co dałoby mu narzędzie do pojechania po opozycji i przedstawienia jej jako ruskiej lub białoruskiej agentury.

Przed wyborami jak znalazł.

Strona pisowska zaliczyła krótki okres oszołomienia, ale pozbierali się szybko, wpychając Szmydta w ramiona prezydenta Komorowskiego, który go mianował. Próbowali też zanurzyć go we współpracy z posłanką Kamilą Gasiuk-Pihowicz z KO. Następnie sędzia Łukasz Piebiak, również powiązany z aferą hejterską, oświadczył, że Szmydt miał poważne problemy finansowe, co miałoby być argumentem wyjaśniającym motywy wycieczki na Białoruś. Wreszcie głos zabrał Kaczyński, który nie szukał żadnych niuansów, tylko wprost potwierdził, że Szmydt jest człowiekiem „obecnej władzy". I już. Nie od dziś wiemy, że żadne krzyki i płacze nie przekonają Jarosława, że białe jest białe, a czarne jest czarne.

Dobrzy ludzie Łukaszenki

A jak zagrały media rosyjskie i białoruskie? Na początku nie musiały przecież nic robić, skoro temat w gruncie rzeczy sam się robił.

Starannie tylko relacjonowały każde słowo sędziego Szmydta, wybijając różnie akcenty. Niektóre pokazywały, że sędzia szukał u Łukaszenki opieki i ochrony. Inne, że Białorusini to, według obserwacji Szmydta, dobrzy ludzie, przyjaźnie nastawieni do cudzoziemców, a w szczególności do Polaków, a Białoruś jest fajnym miejscem. Jeszcze inne wybijały na pierwszy plan tę część przedstawienia, w której polski sędzia mówił, że Polska jest niesamodzielnym krajem, realizującym interesy USA, Berlina lub Brukseli (to w różnych wariantach), no i że USA popycha Polskę w piekło wojny, a Szmydt nie mógł na to patrzeć, wrażliwiec.

Na wnioski i nieco aktywniejsze działania przyszedł czas później. Dziennikarz Międzynarodowego Radia Białoruś Dariusz Mikusek pokazał SMS ze swojej komórki, w których jakiś człowiek twierdził, że to ABW zablokowało jego polski numer telefonu.

Stanisław Stremidłowski, rosyjski dziennikarz polskiego pochodzenia, znienawidzony przez polskie oficjalne media jako czołowy rosyjski propagandzista, wskazał prawidłowo, że sędzia Szmydt miał dostęp do tajnych informacji i jest człowiekiem z wysokiego szczebla politycznych elit, co go odróżnia od innych uciekinierów, takich jak Emil Czeczko (Stremidłowski nie wymienia jego nazwiska).

Rosyjski dziennikarz wyciąga z tej historii wnioski trojakie.

Naród kontra elity

Pierwszy kierunek, to oczekiwanie, że latem w Warszawie zostaną podjęte decyzje, które zasadniczo zmienią pozycję Polski w obecnej sytuacji międzynarodowej, w tym decyzja o wejściu polskich sił zbrojnych na tereny zachodniej Ukrainy – to z kolei wymusi na polskich władzach zmianę polityki wewnętrznej w autorytarnym kierunku. To teza nienowa, którą od dawna forsuje rosyjska propaganda i do tej pory nie traktowałem jej poważnie. Teraz jednak, po wojowniczych zapowiedziach Sikorskiego i przywódców krajów zachodniej Europy, przestała być zabawna.

Druga grupa wniosków to jakoby wahanie się polskich elit, na kogo stawiać w złożonej sytuacji międzynarodowej: Berlin, Brukselę czy Waszyngton. Stremidłowski wskazuje na fragment wypowiedzi Szmydta o jakimś polskim polityku, który nie pozwala wciągnąć Polski w wojnę, ale nazwiska Szmydt nie ujawni, bo nie chce mu zaszkodzić. To oczywiście nie musi być prawda, natomiast wrzucenie tego śmierdzącego jajka do polskiego salonu i do pokoju polskich służb dać może oczekiwany efekt, czyli burdel na kółkach. O co chodziło od początku.

A trzecia grupa, to wykazanie natowskim sojusznikom Polski, że skoro jej służby specjalne poniosły tak spektakularną porażkę kontrwywiadowczą, to Polska i jej struktury siłowe są nic niewarte i jako takie nie powinny zostać dopuszczone do poważnych decyzji i kręgów polityczno-wojskowych w NATO. Ładna intryga i może być dość skuteczna, zatem wniosek nie jest tak całkiem od czapy.

Inne białoruskie źródła z trudem kryją satysfakcję z faktu, że oto na Białorusi pojawił się człowiek z politycznych elit, wykształcony, umiejący się wysławiać i argumentować.

To może być dopiero początek kolejnej serii ucieczek na Białoruś podobnych Szmydtowi co do roli i znaczenia osób, co pozwoliłoby sformowanie na Białorusi polskiego rządu na wychodźstwie. Coś podobnego Polska zrobiła Białorusi, teraz może przyjść czas na białoruski rewanż – cieszą się białoruscy politolodzy, tacy jak Aleksander Szpakowski czy Aleksiej Dzermant.

Forsują też tezę, że należy oddzielać polski, pokojowo nastawiony naród od jego elit, które oszalały i zdradzają polskie interesy. Uważają, że Szmydt to dopiero pierwszy ruch. Jego śladem pójdą następni: oficerowie, urzędnicy różnych szczebli i politycy. Będzie z kogo ten rząd formować.

Rys. MARCIN CHUDZIK

15 minut Szmydta

Sam Szmydt na razie kąpie się w popularności w rosyjskich i białoruskich mediach. I jest tam doceniany. Niech o tym świadczy fakt, że został zaproszony do programu Władimira Sołowiowa: swego czasu wnikliwie i niebanalnie myślącego dziennikarza, teraz wciąż skutecznego, ale jednak propagandysty z kilkumilionową publiką. Wprawdzie pierwsze spotkanie nie poszło najlepiej, bo problemy techniczne praktycznie zerwały audycję, ale będą następne. Wtedy się zacznie.

Na razie Szmydt mówi okrągłe frazesy pozycjonujące go jako skrzywdzonego przez polski reżim i przyjaciela Białorusi i Rosji. Ale to tylko rozbiegówka.

Jeżeli – a trudno to wykluczyć – Szmydt był od dawna zwerbowanym szpiegiem, to nie skończy tylko na tych okrągłych zdaniach, które wypowiedział do tej pory. Przyjdzie czas na wypowiedzi dużo bardziej interesujące. O życiu polskich elit, ich wstydliwych sekretach, o relacjach Polski z sojusznikami, kuluarowych i tajnych rozmowach i wiele więcej. Przy tym taśmy z Sowy i Przyjaciół to będzie dziecięcy szczebiot.

Młot na PiS

Tusk stanie wówczas przed nie lada wyzwaniem. Może zaprzeczać. Im energiczniej będzie to czynił, tym mniej wiarygodnie będzie wyglądał. Może to zlekceważyć („sędzia mówi to, co ruskie mu każą"). To zadziała, ale boję się, że nie na długo. A jednocześnie, jeśli to była afera szpiegowska, premier musi wyciągnąć wnioski wobec służb, które się skompromitowały, a w tym samym czasie nie może zlekceważyć ich ustaleń, które podobno ma w ręku.

Trzeba więc sprawę doprowadzić do końca: sprawdzić powiązania Szmydta, wyjaśnić, czy w jego otoczeniu są inni zwerbowani pracownicy białoruskich lub rosyjskich służb – to oznacza trzęsienie ziemi w części przynajmniej polskich elit związanych z obecną opozycją.

To z kolei rodzić może pokusę, by wykorzystać tę sytuację do przetrącenia kręgosłupa Kaczyńskiemu, Ziobrze i innym politykom Zjednoczonej Prawicy. Może to nie będzie demokratyczne, ale za to skuteczne, no i przykrywka – „walczymy ze zdrajcami naszej Ojczyzny" – będzie doskonała, bo publika, jak zwykle nadziana patriotycznymi symbolami zwalniającymi od myślenia, łyknie to bez popitki.

A co na to wszystko PiS czy, jak kto woli, Zjednoczona Prawica? To dobre pytanie.

Bo nie wiadomo, czy w zamian za łagodny wyrok przyniosą w zębach Tuskowi głowę Kaczyńskiego, czy też połączeni wspólnym strachem i interesem zjednoczą się i wyszczerzą wszystkie zęby, które im jeszcze zostały po 15 października. Pozagryzają się potem. W tym scenariuszu jedno zdaje się prawdopodobne: Tusk zabezpieczyłby sobie władzę na kilka kadencji do przodu.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Marcin Kierwiński to minister, który w rządzie Donalda Tuska miał wprowadzać polską politykę na wyższy poziom, ale wprowadzanie to skończył po pięciu miesiącach, żeby zregenerować siły w parlamencie europejskim. Za 10 tys. euro miesięcznie.

Jak wiadomo, Kierwiński obchodził ostatnio Dzień Strażaka. Obchodził w ten sposób, że wygłosił przemówienie. Na trzeźwo, a kto uważa inaczej…

Właśnie. Gdyby Kierwiński był napierdolony albo choćby na rauszu, nie brałby siebie tak poważnie. Nie napisałby na platformie X tego, co napisał: „Osoby, które stały i stoją za szkalowaniem mojego dobrego imienia, poniosą prawne konsekwencje tych nienawistnych działań. O kolejnych krokach będę Państwa informował".

A wal się, człowieku! Nie informuj nas ani o kolejnych, ani o żadnych swoich krokach. Jeśli chcesz być traktowany serio, miej do siebie trochę dystansu.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl f5a368e4e4

GADMAN

Polska duma i uprzedzenie moje

Nie ma jak bomba. Medialna, rzecz jasna.

Pan prezydent znów powiedział. Tym razem podczas wizyty na Litwie. Z elektryzującym błyskiem w oku ogłosił, że „program Nuclear Sharing powinien być rozszerzony także na państwa wschodniej flanki NATO". I zadeklarował, że „jako przedstawiciel jednego z tych krajów podnoszę ten temat, jednocześnie zapewniając do gotowości udziału w tym programie".

No i Litwinom prawie kapcie z wrażenia spadły.

Pan prezydent naprawdę to powiedział, a jego słowa podchwycili i szybko upowszechniali w internecie przeliczni dumni Polacy. Także ci deklarujący się jako patrioci lewicowi. Wszyscy lajkowali i zgodnie mielili proroctwo Marszałka Piłsudskiego, że Polska albo wielka będzie, albo nie będzie jej wcale. Zatem kiedy Polacy będą mieli swoją atomówkę, to od razu Polska wyrośnie na mocarstwo. Regionalne przynajmniej.

Bombę prezydenta próbował rozbroić minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. „Panu prezydentowi już było powiedziane na najwyższych szczeblach, i żeby było jasne – nie polskich – żeby o tym nie mówić i że na to nie ma na razie szans" – studził. Przypomniał też, że ten rząd nie dał prezydentowi „zachęty czy upoważnienia" do mówienia o tym publicznie. Dodał, że „jeśli rozmawiać na ten temat, to w zaciszach gabinetów", a ściślej, „to się robi w takich schronach specjalnych".

Bum

Oczywiście każdy polski lewicowy patriota i entuzjasta polskich bomb atomowych może olać słowa Sikorskiego. Bo to prawicowy libek jest. Jednak trudno zlekceważyć stanowisko europosła, byłego premiera, ministra spraw zagranicznych Włodzimierza Cimoszewicza. Niekwestionowanego eksperta i polityka stroniącego od ujadania na internetowych forach.

Cimoszewicz w Radio Tok FM przypomniał, że program Nuclear Sharing to część polityki odstraszania jądrowego realizowanego przez NATO. Zakłada on składowanie amerykańskiej broni jądrowej na terenie państw – członków NATO, które jej nie posiadają. Obecnie taka broń zmagazynowana jest na terenie Belgii, Niemiec, Włoch, Holandii i Turcji.

Zauważmy, że choć niektóre atomówki leżą tam od kilkunastu lat, to żadna z tych bombek nie stała się przez to turecką, holenderską ani nawet niemiecką. Dalej należą do USA i to tylko Amerykanie będą decydować, kiedy ich użyją.

Wiara, że amerykańska bomba przechowywana w magazynie leżącym na terenie Polski od razu wzmocni polski potencjał atomowy, podobna jest kalkulacjom, że jeśli firma typu Amazon zbuduje w Polsce swój magazyn, to Polacy będą potem dysponować przechowywanym tam towarem.

Poza tym odstraszająca wrogi atak rola tak zmagazynowanej broni jest raczej wątpliwa. Każdy rozsądny wróg napadający na Turcję czy Niemcy profilaktycznie uderzyłby przynajmniej w infrastrukturę komunikacyjną wokół takiego magazynu. I w razie wojny ów magazyn będzie magnesem atak przyciągającym. Dlatego amerykańskie bomby nie są składowane na kupie. Ich rozproszenie na terytoriach państw-sojuszników utrudnia szybkie ich zniszczenie lub zneutralizowanie przez wrogi napad.

Oczywiście pełne mocarstwowe aspiracje dumnych Polaków spełniłoby posiadanie własnej, czysto polskiej bomby atomowej. Najlepiej made in Poland. Są przecież na świecie mniejsze terytorialnie i ludnościowo państwa, które własną bombę mają. Choćby północni Koreańczycy. Trochę wyrzeczeń co prawda ich to kosztowało, ale teraz mogą być dumni. A Polacy nie gęsi, też na własną atomówkę zasługują. Ale czy gotowi są na podobne wyrzeczenia?

Na razie, co warto też przypomnieć, nadal nie zbudowaliśmy ani jednej z wielu już-już budowanych elektrowni atomowych. Nie ma tej dużej, od lat lokalizowanej nad Bałtykiem.

Rys. HENRYK CEBULA

Nie ma tych mniejszych, obiecywanych przez polityków w wielu okręgach wyborczych.

I długo jeszcze pozostaną w sferze faktów medialnych. Bo w Polsce lubi się polityków, którzy potrafią obiecywać. Ku pokrzepieniu serc i pompowaniu narodowej dumy.

Bum, bum

„Budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego będzie stanowić wielki impuls rozwojowy dla polskiego sektora lotniczego, który jest kluczowy dla globalnej pozycji Polski" – czytamy w liście otwartym Rady Polskich Przedsiębiorców Globalnych do premiera Donalda Tuska. Jego autorzy podkreślają, że zabierają głos w toczącej się debacie wokół planów budowy CPK. Wśród członków rady znajdziemy założycieli i prezesów takich gigantów jak Adamed, Cinkciarz.pl, Inter Cars, Maspex czy Selena. „Bazując na doświadczeniu biznesowym firm skupionych w Radzie Polskich Przedsiębiorców Globalnych uważamy, że Projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego ma szansę stać się wielkim kołem zamachowym polskiej gospodarki. Jego realizacja prowadzi do wzmocnienia szeregu gałęzi polskiej gospodarki, jednocześnie będąc inwestycją istotną dla zrównoważonego rozwoju opartego na dbałości o środowisko, ale też wzrostu zamożności Polaków".

Pięknie napisane, nieprawdaż? Przepisałem, bo sam bym tak nie potrafił. Wszystko chwytające za patriotyczne, polskie serce w jednym liściku jest.

I „klucz do globalnej pozycji Polski", i „wielkie koło zamachowe polskiej gospodarki", i „wzrost zamożności Polaków" też. Nawet skierowany do lewaków „zrównoważony rozwój oparty na dbałości o środowisko" jest!

Nie napisano jedynie, że ten „klucz" i to „koło" oparte są na tradycyjnym polskich chciejstwie, a nie rzetelnych, zaktualizowanych analizach.

To także hasło wyborcze partii prezesa Kaczyńskiego. Wędrującego teraz po Polsce i obiecującego wyborcom „tanie loty" z Centralnego Portu Komunikacyjnego. Portu nieprzeznaczonego przecież dla „tanich linii lotniczych". Obiecuje szybkie pociągi z Giżycka do Baranowa. I z Rabki pewnie też, bo czemu ich wyborcom nie obiecać? Miód na dumne serca lać.

Wtórują prezesowi w internecie polscy dumni patrioci powielający fotki wielkich chińskich lotnisk z pobudzającymi polskie ambicje pytaniami: „Czemu Pekin ma trzy mega lotniska, a Polska nadal ani jednego?".

Oczywiście nie dodają, że Chiny są drugą światową gospodarką, a Polska mozolnie wspina się na dwudziestą pozycję. Nie wspominają, że w Pekinie i okolicach mieszka przynajmniej 20 milionów, czyli pół Polski.

Nie przypominają, że wszystkie poprzednie pomysły CPK oparte były na spekulacjach, że komunikacyjną dumę Polski ktoś Polakom łaskawie sfinansuje i potem wesprze naród polski w gigantycznej budowie.

Najpierw zakładano, że te liczne i szybkie linie kolejowe zbuduje się za pieniądze wyrwane z Unii Europejskiej. Tej „wyimaginowanej wspólnoty".

Ten wielki lotniczy port przesiadkowy najpierw mieli zbudować nam komunistyczni Chińczycy. A dumni Polacy pozwalać – by korzystała z niego Air China. Po wybuchu wojny w Ukrainie w nowej koncepcji CPK miał być przykrywką dla amerykańskiego lotnictwa. Chińczycy odpadli, bo mogliby nas szpiegować.

Wedle najnowszych marzeń sieć szybkich kolei ma zbudować jednak dumna Polska, choć nadal nie może skończyć przebudowy dworca kolejowego Warszawa Zachodnia.

Podobnie wielki przesiadkowy port lotniczy. Obiecujący go teraz prezes Kaczyński nie wspomina, że samoloty wylatujące z Polski nie mogą przelatywać przez terytorium Rosji. To sprawia, że obiecywany przed wojną w Ukrainie polski port przesiadkowy nie ma sensu, bo szybsze, wygodniejsze dla potencjalnych pasażerów są porty przesiadkowe w emiratach arabskich i Turcji.

Ponieważ polskie elity polityczne są w państwach NATO liderami w kategorii „antyrosyjskość", to nie ma gwarancji, że Rosja szybko swą przestrzeń nam otworzy. Chyba, że dumę Polski sprzedamy jednak komunistycznym Chińczykom.

Znów regularnie krytykowanym w polskich mediach za współpracę z Rosją.

I wreszcie żaden z entuzjastów tego „klucza" i „koła" nie wspomina, że bardzo prawdopodobny realny koszt wypasionego CPK to przynajmniej 150 miliardów złotych. Nie deklaruje, że dołoży do tej inwestycji. Również liderzy, milionerzy z globalnej Rady nie zadeklarowali swego finansowego udziału w tym przedsięwzięciu. Pozostaje budżet państwa.

Czy dynamicznie rosnąca z roku na rok w Polsce populacja emerytów będzie finansować dumę Polski ze swych opodatkowanych emerytur?

Bum, bum, bum

Na ekrany kin wszedł długo oczekiwany film o bohaterstwie Polaków walczących pod Monte Casino. Temat ukochany przez dumnych, polskich patriotów. Wyczekujących, niczym Żydzi swego Mesjasza, polskiego filmu o prawdziwej polskiej historii zrealizowanego w hollywoodzkim stylu. Pokazującego całemu światu waleczne serca Polaków.

Niestety znów kasy na prawdziwe kino zbrakło. I pewnie dlatego „Czerwone Maki", choć mają pięknie zrobiony kilkunastominutowy nocny atak piechoty i straceńczą szarżę polskich pancerniaków, to batalistyką zagranicznej konkurencji nie przebiją. Przeciwnie, film zniechęca młodzież do udziału w działaniach wojennych, bo pokazuje je prawdziwie, czyli jako zwyczajną rzeź.

Gdyby ekipa „Czerwonych Maków" dostała kasę, którą elity PiS wcześniej wydały na nierealny CPK, to przynajmniej w kinie Polacy mieliby na co popatrzeć. A tak polskiej bomby atomowej, polskiego CPK i polskiego Hollywoodu nadal w realu nie zobaczycie.

PIOTR GADZINOWSKI

„To nie są wybory o niczym, to nie są wybory o tym, kto się wygodniej urządzi w Parlamencie Europejskim, to są wybory w dużej mierze o »być albo nie być« Unii Europejskiej, integracji europejskiej, przyszłości" – ogłosił Aleksander Kwaśniewski.

Ostatnio, co dla mnie dość zaskakujące, przeważnie zgadzam się z Kwaśniewskim. Nie w tej kwestii jednakowoż. Pomijając już amerykopochodny nowotwór językowy („wybory o") – to, kto się lepiej urządzi w Brukseli, stanowi zasadniczą treść tych wyborów. Drugi element – to pytanie o to, kto się lepiej urządzi w Warszawie; w sensie partyjnym, nie personalnym. Z przyszłością Europy te wybory mają bardzo niewiele wspólnego.

Kasa, nie władza

Na początek – żeby zmierzyć się z tzw. słoniem w salonie – powiedzmy sobie szczerze, że mandat europosła to fucha rzadkiej atrakcyjności. Ryczałt plus dieta to 55 tysi miesięcznie na rękę, plus półtora kafla za dzień posiedzenia, plus loty w klasie biznes – i to wszystko z gwarancją na pięć lat – plus setki tysięcy złotych odprawy, a później parę do parunastu tysięcy emerytury miesięcznie, w zależności od stażu europarlamentarnego. Po jednej kadencji można się poważnie odkuć; po dwóch czy trzech – ustawić na całe życie.

Z drugiej wszakże strony, wpływ na losy Europy taki ustawiony koleś ma niewielki. Członków PE jest 705, z czego z Polski 52 – jest to równoznaczne z klubem liczącym 34 posłów w polskim sejmie. Taki PSL w tej kadencji. Gówno może samodzielnie, a dołóżmy do tego fakt, że polscy europosłowie podzieleni są na pół, między PiS i antypis, i jedna połowa jest z drugą na noże – i już schodzimy na poziom wpływu Konfederacji. Z tym że posłowie sejmowi mogą przynajmniej przebić się do krajowego dyskursu z jakąś ideą czy opinią dzięki wypowiedzi, która zwróci uwagę mediów – zwłaszcza ostatnio, gdy sejm jest przez naród oglądany namiętnie i z popcornem. Europosłów nikt nie słucha, a i polska telewizja nie pokazuje.

Przyszłość lewicy okiem maturzysty

Lubię Włodka Czarzastego, tak po prostu. Da się w nim zobaczyć fajnego faceta i jak na polskie warunki niezłego polityka. Zawsze darzyłem specyficzną i nieproporcjonalną do swojego młodego wieku sympatią dawne SLD. Podniesienie polskiej lewicy z dna po rządach Leszka Millera niewątpliwie można uznawać za niepodważalny sukces przywódczy Czarzastego. Zbudowanie szerokiej koalicji SLD–Wiosna–Lewica Razem sprawiło, że na polskiej scenie politycznej zdominowanej przez siły konserwatywne pojawiła się opcja będąca czymś więcej niż antypisem.

Sama decyzja o przekształceniu SLD w Nową Lewicę to już temat bardziej kontrowersyjny. Wyprowadzenie zasłużonego sztandaru mające być nowym otwarciem dla polskiej lewicy stało się raczej symbolem autorytarnych rządów wewnątrzpartyjnych. I tu pojawia się problem, bo im dalej, tym mniej pozytywów przewodnictwa wicemarszałka można dostrzec.

Układanki i przepychanki

Włodzimierz Czarzasty w obliczu mizernego wyniku w październikowych wyborach bronił się, twierdząc, że sukcesem jest już sam powrót lewicy do współtworzenia rządu. Ale co z tego wynika? Lewica przegrała batalię o ministerstwo edukacji i musiała zadowolić

REKLAMA

eprasa.pl f5a368e4e4

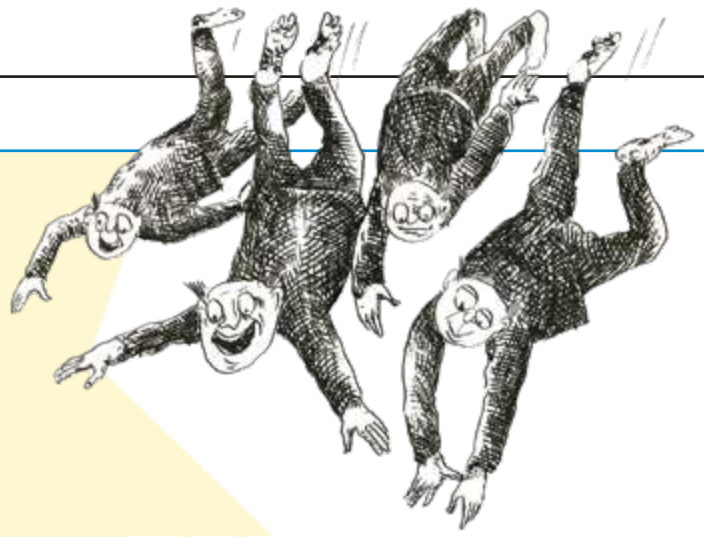

Wybory na bogaczy

Rys. HENRYK CEBULA

Co ważniejsze – wszelkie decyzje dotyczące pozycji Polski w UE, od przystąpienia po mityczny polexit, podejmowane są w Polsce: przez rząd, prezydenta, parlament, lud w referendum. Pół setki polskich europosłów może im się przyglądać z wygodnego daleka, ale nie ma nic do gadania.

W tym momencie na pewno znajdzie się ktoś, kto zaoponuje, że siła nie w liczbach, tylko w kontaktach, osobistej pozycji naszych wybitnych polityków formatu europejskiego, z którymi w Europie się tak bardzo liczą. Donald Tusk był przez cztery lata „prezydentem Europy" – ale nie miało to żadnego wpływu na antyeuropejskie rządy PiS. Z punktu widzenia realiów polskiego życia politycznego Bruksela tak naprawdę leży na innej planecie.

Jest to wszakże planeta wysoce komfortowa. Więc, z całym szacunkiem, nie pierdolcie nam, że wybrani pół roku temu posłowie i senatorowie, rządzący od pięciu miesięcy ministrowie i wiceministrowie albo radni, którzy zdobyli mandat sześć tygodni temu, idą do PE dla dobra Polski.

Idą dla własnego dobra, dymając przy tym wyborców, którzy zaufali im 15 października i 7 kwietnia.

Jedynki i jaja

Dla uczciwości trzeba zaznaczyć, że krytyka ta dotyczy jedynie kandydatów, którzy są na pierwszym lub – w pojedynczych przypadkach – drugim miejscu. Czyli tych, którzy kandydują z realną nadzieją na zwycięstwo. Reszta rzeczywiście poświęca się dla partii, wypełniając rolę zapychacza i wspieracza: gwarantuje, że na liście jest niezbędna liczba kandydatów, a dodatkowo przynosi jakieś tam dodatkowe głosy krewnych i znajomych. Do tych kandydatów z gatunku „jaja" (uczestniczą, nie wchodzą) nie ma o co mieć pretensji, nawet jeśli są świeżo wybranymi posłami czy radnymi.

Liderzy list to zupełnie co innego. Szczególnie jeśli są członkami rządu.

Do PE kandydują trzej konstytucyjni ministrowie z Platformy (wszyscy świeżo wybrani do sejmu): Marcin Kierwiński, Bartłomiej Sienkiewicz i Borys Budka. Jedynkę dostało też kilku innych nowych posłów: wiceminister polityki regionalnej Jacek Protas, szef kopertowej komisji śledczej Dariusz Joński, przewodniczący sejmowej komisji kultury Bogdan Zdrojewski, Marta Wcisło. Także Krzysztof Brejza, który w październiku dostał się do sejmu, a w styczniu objął w PE mandat po Sikorskim i doszedł do wniosku, że brukselska trawa bardziej zielona.

PSL chce odesłać do Brukseli ministra rozwoju i technologii Krzysztofa Hetmana, który w październiku zrezygnował z mandatu europosła, kiedy dostał się do sejmu, a także wiceministrzycę kultury Bożenę Żelazowską. Szymon Hołownia wprawdzie nie powstrzymał się od unurzania PO w sosie swojej ironii – „Umówiliśmy się z Polakami na pracę w rządzie przez cztery lata, a nie przez cztery miesiące" – ale wysyła do Brukseli wiceministra obrony narodowej Pawła Zalewskiego.

Lewica wypycha do PE swoich wiceministrów: Joannę Scheuring-Wielgus z kultury, Krzysztofa Śmiszka ze sprawiedliwości i Andrzeja Szejnę z MSZ. Jedynkę dostała nowa szefowa klubu Lewicy Anna Maria Żukowska, biedroniowa posłanka Katarzyna Ueberhan, świeżo wybrany radny Włocławka Piotr Kowal, a także – co, nie ukrywam, degustuje mnie szczególnie – razemowy poseł Maciej Konieczny. I zgoda: większość pewnie kandyduje na zająca, bo sondaże dają lewicy szansę na trzy mandaty – ale idę o zakład, że nikt z „jedynek" tak nie myśli. Każdy polityk, który właśnie wygrał wybory w swoim okręgu, nosi buławę w plecaku i wierzy, że następnym razem też się uda.

Nieudacznicy i kryminaliści

Entuzjaści Donalda Tuska i jego polityki personalnej tłumaczą, że premier używa wyborów do PE jako narzędzia do rekonstrukcji rządu. To też słaby argument. Rekonstrukcja po pięciu miesiącach świadczy albo o bardzo słabym zarządzaniu zasobami ludzkimi (co, Tusk naprawdę nie wiedział, że Kierwiński nie ma pojęcia o MSW?), albo o instrumentalnym traktowaniu ludzi (damy pułkownika Sienkiewicza na przeczyszczenie TVP, a potem się go pozbędziemy), albo o korzystaniu z list wyborczych partii dla celów osobistych rozliczeń (odstępne dla Budki za partię). Żadna z tych wersji nie wskazuje na poważne traktowanie wyborców i „zadania, które nam powierzyli".

PiS z kolei używa wyborów do Parlamentu Europejskiego przede wszystkim w charakterze nagród pocieszenia. Jedynki lub nieźle rokujące dwójki dostali: pozbawieni mandatów po skazaniu prawomocnym wyrokiem Kamiński i Wąsik; Tobiasz Bocheński, który wziął na klatę wybory prezydenckie w Warszawie; wyjebany z Orlenu Daniel Obajtek (w jego przypadku chodzi zapewne bardziej o immunitet niż o pieniądze, których zdążył już uzbierać sporą kupkę) oraz Jacek Kurski, którego zasługi w TVP nie zostały najwyraźniej jeszcze spłacone. Warto odnotować, że w zasadzie nikt z posłów PiS wybranych 15 października nie kandyduje z poważnego miejsca w PE, co zapewne jest przejawem nie tyle szacunku dla wyborców, ile mentalności oblężonej twierdzy wymagającej pełnej obsady murów.

Analitycy życzliwi nowej władzy tłumaczą gwiazdorską obsadę list PO koniecznością zwycięstwa nad PiS-em po dziewięciu przegranych. Zaś wysłanie do PE kwiatu innych ugrupowań koalicyjnych ma być uzasadnione potrzebą utrzymania – lub przegrupowania – powstałego po 15 października układu sił. Że jak, dajmy na to, lewica znowu, jak w samorządowych, przerżnie z kretesem, to Tusk może jej zabrać coś z koalicyjnych łupów i dać Hołowni. Znów: nie jest to nacechowane nadmiernym szacunkiem do wyborców, którzy 15 października stali po nocach, żeby wybrać sejm na cztery lata, i liczyli na to, że ten sejm wyłoni rząd serio.

Wagony biedaków

Nawiasem mówiąc, wśród wyznawców PO nie brak romantyków, którzy wierzą, iż czołowe twarze formacji tyrają w tej kampanii dla partii i dla Polski, ale wcale nie mają zamiaru korzystać z wyhodowanych owoców. Jak ujął to jeden z wiernych: „To lokomotywy wyborcze. Jak dojadą do PE, to odczepią wagony i wrócą do Polski".

Jasne. To się wprawdzie średnio sprawdziło w przypadku Roberta Biedronia, ale politycy PO są znacznie bardziej ideowi. I nie ma tu nic do rzeczy, że Sienkiewicz ma 80-metrowe mieszkanie, 13-letnią alfę, 30 tys. zł, 20 tys. euro i 10 tys. dolków. Majątek Kierwińskiego to M2, działka, sześcioletni ford i 75 tys. zł. do spółki z żoną. Budka jest najbogatszy: ma z żoną trzy nieruchomości w sumie warte koło półtorej bańki, a dodatkowo 110 tys. zł oszczędności i sześcioletnią toyotę. Nie wiem, jak Państwo, ale ja odnoszę wrażenie, że wszystkim tym trzem tuzom polityki pięć lat pensji europosła zrobiłoby różnicę.

Swoją drogą: nie wszystkie mainstreamowe (czytaj: prorządowe) media przyjmują bezrefleksyjnie koncept, że ci wszyscy ważni politycy obecnej koalicji, którzy pchają się do Brukseli, robią to dla Polski. Bardzo interesujące pytanie postawiła ostatnio wyborcom – na zlecenie „Rzeczpospolitej" – sondażownia SW Research. Brzmiało ono: „Jak ocenia Pani/Pan fakt, że ministrowie i wiceministrowie rządu Donalda Tuska startują w wyborach do PE?".

Opinie nie są najprzychylniejsze. 43 proc. badanych – i aż 56 proc. tych z dochodem powyżej 7 tys. zł netto miesięcznie, czyli wyborców PO – jest przeciw. Zaledwie co czwarty Polak – i mniej niż co piąty zamożny Polak – uważa, że to dobry pomysł.

Wielcem ciekawa, czy w wyborach dadzą wyraz temu zasadnemu skądinąd krytycyzmowi.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Jeszcze razem

się posadą ministra nauki dla Dariusza Wieczorka. Projekty dotyczące aborcji i praw osób LGBT najpewniej zostaną storpedowane przez konserwatystów z Trzeciej Drogi, a to wszystko za cichym przyzwoleniem Donalda Tuska. Niedawno zresztą sam Władysław Kosiniak-Kamysz jasno deklarował, że projektu ustawy o małżeństwach jednopłciowych nie poprze.

Ekipa Zandberga i Biejat od początku trzyma się z dala od wewnątrzkoalicyjnych przepychanek. Świetnie idzie im wprowadzanie do sejmu nowych wartościowych postaci, które są powiewem świeżości w zabetonowanej przez parlamentarnych weteranów izbie. Nie boją się głośno mówić o swoich poglądach, czym ściągają na siebie gniew liberalnego komentariatu, który najchętniej postawiłby znak równości między Szydło i Biejat. Tym właśnie wizerunkiem „razemki" trafiają do mojego – młodego – pokolenia, które rządów innych niż PO i PiS nie doświadczyło, a parlamentarną lewicą jest w głównej mierze zawiedzione.

Formalnie posłowie Razem nie są częścią koalicji rządzącej – jak wiemy, mimo poparcia rządu Donalda Tuska, nie weszli do niego. Partia reprezentuje tę część polskiego społeczeństwa, która nie jest zachwycona wizją uśmiechniętej Polski promowanej przez Hołownię, Tuska, Biedronia.

Dziś, po kolejnych przegranych wyborach, gdy czarzasta lewica dryfuje coraz śmielej w kierunku bycia przystawką Platformy Obywatelskiej, nasuwa się pytanie, jaki jest sens trwania

Rys. HENRYK CEBULA

Lewicy Razem w tej koalicji – bo to, że przedstawiciele tejże frakcji to jedyna sensowna opcja lewicowa w kraju nad Wisłą, wydaje mi się oczywiste już od dłuższego czasu.

Polska nieszczerze uśmiechnięta

Wybory do parlamentu europejskiego za rogiem. Dobrze wiemy, że listy wyborcze Lewicy zostaną ułożone w taki sposób, by Nowa Lewica zdołała wepchnąć do Strasburga swoich zasłużonych działaczy.

To nie są tylko moje własne przypuszczenia. Śląski senator lewicy Maciej Kopiec na portalu X pisał, że celem NL i Biedronia jest, by w parlamencie europejskim zasiadło trio w składzie: Joanna Scheuring-Wielgus, Krzysztof Śmiszek i wreszcie sam Robert Biedroń. Senator zarzuca przy okazji współprzewodniczącemu próby autorytarnego układania list, a także brak zaangażowania w sprawy śląskiej lewicy. Atmosfera musi być znakomita, skoro takie sprawy zaczynają być wyciągane na forum publicznym.

Czy Razem może liczyć w tych wyborach na jakiekolwiek biorące miejsce? Może być o to trudno, choć kandydaci karminowej lewicy nie raz już pokazali, że nawet z niższych pozycji potrafią zawalczyć o poparcie. To, że partie polityczne walczą o posady dla swoich, wiadomo nie od dziś, ale jak długo jeszcze partia Biejat i Zandberga będzie znosić ciągłe marginalizowanie ich frakcji?

Spójrzmy na sytuację z Krakowa przed drugą turą walki o schedę po prezydencie Majchrowskim. Nowa Lewica poparcia udzieliła Aleksandrowi Miszalskiemu z PO. Człowiekowi, w którego zwycięstwo zaangażował się cały aparat partyjny wraz z Rafałem Trzaskowskim. Warszawocentryzmowi sprzeciwiła się właśnie Lewica Razem, która poparcia udzieliła Łukaszowi Gibale.

Kraków stał się sceną mniej lub bardziej otwartego sporu na linii Razem – Nowa Lewica. Widać to było szczególnie w internetowych przepychankach między przedstawicielami krakowskich młodzieżówek obu partii. Frakcja popierająca Gibałę stała się obiektem ciągłych ataków, co prawda z gatunku raczej subtelnych, jednak koalicjanci nie szczędzili szpilek wbijanych w „razemki", szczególnie po ogłoszeniu wielkiego tryumfu Miszalskiego. Wyjątkowo rozbawiło mnie wytykanie Gibale trzecich przegranych wyborów przez ex-posła Gdulę, który wybory do parlamentu przegrał, startując z pierwszego miejsca (wyprzedziła go Daria Gosek-Popiołek z Razem), a potem ten sam wyczyn powtórzył w wyborach samorządowych. Całe szczęście, że miejsce dla niego znalazło się w ministerstwie edukacji.

Nie idźcie tą drogą

Po fatalnym wyniku w wyborach samorządowych (tej oceny kierownictwo NL nie próbuje już podważać) coraz głośniej mówi się, że w sprawie laski marszałkowskiej Czarzasty będzie musiał obejść się smakiem, czym nieszczególnie zdaje się przejmować.

Przewodniczący powodu porażki upatruje w konfiguracji, w jakiej strona rządowa przystąpiła do wyborów. „Lepiej było pójść w dwóch blokach, a nie trzech" – mówi Czarzasty. Te słowa to coś więcej niż mezalians ideowy; to wyraźne stawianie NL w roli przystawki PO. Niepokojące doniesienia o rzekomym szantażu Lewicy w sprawie poparcia projektu kredytu zero procent w zamian za fundusze na mieszkalnictwo, to właśnie efekt ugodowej postawy kierownictwa partii.

Jako że Platforma Obywatelska coraz bardziej liberalizuje się światopoglądowo, różnice między partiami coraz bardziej zanikają, a NL wkracza na niebezpieczną ścieżkę, którą wcześniej poszli Zieloni czy też Inicjatywa Polska.

W obliczu wasalizacji NL nie sposób nie zauważyć, że to właśnie politycy Razem nie boją się mówić, co myślą. Warto zwrócić uwagę choćby na wystąpienie posła Macieja Koniecznego w kontekście zabójstwa Damiana Sobola w strefie Gazy. Takich wypowiedzi, stojących w kontrze do proizraelskich poglądów Anny Marii Żukowskiej, na próżno szukać w innych frakcjach klubu Lewicy. Można odnieść wrażenie, że Razem coraz mniej pasuje do tandemu Czarzasty–Biedroń. Poprzednie wybory pokazały, że kandydaci Razem mają społeczne poparcie nieraz większe niż bardziej medialni politycy Nowej Lewicy. Śmiem twierdzić, że nie mieliby oni problemów z przekroczeniem progu w następnych wyborach parlamentarnych.

Jeśli duet przywódczy Biedroń–Czarzasty nie zdoła odwrócić tendencji spadkowych w sondażach, a w czerwcowych wyborach europejskich Lewica spadnie pod próg, to może nie być realnych powodów, by Razem trwało w tej koalicji. Dla dobra polskiej lewicy powinni oni rozpocząć własną podróż, gdyż trójprzywódczy format, który dobrze funkcjonował w 2019 r., dziś ciągnie idee lewicy na dno. Dzisiejsza Nowa Lewica to formacja o zbyt ugodowym stosunku wobec frakcji Donalda Tuska, by móc realizować lewicowe postulaty. Na ten moment poza ekipą Biejat i Zandberga dla rodzimej lewicy ratunku nie ma.

NIKODEM KUSZ

eprasa.pl f5a368e4e4

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Unia odrzuca logiczne i zdroworozsądkowe rozwiązania, z uporem maniaka upierając się przy czymś, co nie wytrzyma próby czasu, a tylko utrudni nam wszystkim życie. (…) Równie wielkim problemem są kwestie wolności słowa, wolności i niezależności mediów, i coraz bardziej bezwzględnie narzucanych norm światopoglądowych.* ***Eliminowanie tradycyjnych i katolickich wartości z edukacji, wprowadzanie wulgaryzmów i treści obscenicznych do kultury języka, przymus akceptacji wyjątkowo kontrowersyjnych publicznych zachowań, jakimi stały się „parady równości" czy „parady miłości".*** *(…) Mam dziś obawę, że za rok tego felietonu nawet w Radiu Maryja nie będę mogła odczytać, bo już w czerwcu w naszym kraju ma wejść w życie* ***Kodeks karny, który będzie karał za tego typu słowa, jeśli tylko jakiś sędzia uzna to za dyskryminację i niezgodność z unijnymi standardami wolności.***

dr Jolanta Hajdasz, Radio Maryja, 1 maja

■ *Należy trwać w małżeństwie,* ***a zdrada może być okazją, by stawać się wiernym jeszcze bardziej.*** *W przysiędze małżeńskiej nie jest napisane „opuszczę cię, gdy mnie zdradzisz".*

abp Marek Jędraszewski, X, 26 kwietnia

■ *Od grudnia Polacy są przedmiotem utopijnego eksperymentu. Chodzi o „uwolnienie", zwłaszcza najmłodszego pokolenia, od tego, co stanowi o polskiej tożsamości. (…) Wszystko idzie w tę stronę, żebyśmy zamiast dumy z polsko-litewskiego zwycięstwa pod Grunwaldem przeżywali poczucie winy za powstrzymanie w 1410 r. integracji Europy na modłę niemiecką. W tym duchu do Wiednia i Istambułu też powinniśmy wysłać przeprosiny, że w 1683 r. nasi zakuci w żelazo husarze przerwali proces „ubogacania" chrześcijańskiej Europy przez islam. (…)* ***Patriotyzm jako umiłowanie wiary i mowy ojców, ojczystej historii, kultury, ziemi i swojego narodu ma być dla Polaków czymś gorszym niż nazizm. W imię utopii europejskiego superpaństwa nikt już ma nie chcieć walczyć i umierać za Polskę.***

ks. Henryk Zieliński, Idziemy.pl, 25 kwietnia

■ *Żyjemy w sytuacji, w której* ***prawo do śmierci, do zabijania jest prawem podstawowym.*** *Natomiast prawo do życia, które było prawem podstawowym, staje się roszczeniem prześladowanym, niszczonym, deprawowanym. (…) Prawo do urlopu, które jest prawem macierzyńskim, jest prawem służącym dobru dziecka, jak i dobru matki, jest dobrem dla społeczeństwa, dobrem ekonomicznym, dlatego że pozwala kobiecie pełnić w przyszłości w sposób rzetelny swoje powołanie. To wszystko zostaje uchylone, dlatego że* ***na równi z naturalnym prawem urlopu macierzyńskiego zostaje wprowadzone równorzędnie tzw. prawo do urlopu z racji wykonywanej aborcji;*** *prawo, które wspiera coś, co jest sprzeczne z racjonalnym porządkiem prawa.* ***To jest wspieranie bezprawia w sposób najbardziej podstawowy.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 25 kwietnia

KLECHA

Rys. OBYWATEL JANEK

Adoracja Przenajświętszego Instytutu

Zapisałam się do newslettera Ordo Iuris. Tonę we łzach. Wy też popłaczcie.

Uznałam, że warto być na bieżąco z tym, co w tej patoelitarnej hybrydzie pornoprawicy i „prawa" piszczy. Efekt przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Poczułam się, jakby adorował mnie najczulszy kochanek.

W służbie

Pod koniec lutego Instytut Ordo Iuris połączył siły z fundacją Centrum Życia i Rodziny, aby – jak napisał w mediach społecznościowych mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes tego ultrakonserwatywnego think thanku – „jeszcze mocniej rozwinąć bezpośrednią sieć dotarcia z naszym wezwaniem do obrony Ojczyzny, życia i wolności dla polskich rodzin". Pierdol, pierdol, ja posłucham, przeszło mi wtedy mimowolnie przez myśl, ale od czasu, kiedy dostaję maile od Instytutu, muszę przyznać, Kwaśniewski słowa dotrzymał. Newsletter przychodzi z różnym natężeniem, aczkolwiek nie na tyle intensywnym, żeby uznać go za spam. W tym miejscu zaznaczę, że jeśli ktokolwiek czuje się samotny w długie pod polskim niebem noce, powinien czym prędzej zaprenumerować wiadomości od Instytutu OI – maile pojawiają się często grubo po północy, zatem dźwięk dzwoneczka w telefonie powiadamiający o ich nadejściu może dać złudne poczucie, że jednak komuś na nas zależy. Pojęcie o pracy w korporacji mam równie blade jak dupę, ale lubię sobie wyobrażać, że oto strudzeni całodzienną pracą w obronie polskiego chrześcijaństwa, w przepoconych pod pachami garniturach i klejących się do ud rajstopach, prawnicy i prawniczki Ordo Iuris, po odparciu wszystkich ataków na wyznawców Chrystusa, zasiadają do komputerów i piszą te listy – a świat w nich malowany wygląda strasznie jak krocze po goleniu tępą żyletką.

Jest sprawa

„Szanowna Pani, kilka miesięcy temu pisaliśmy o przejmującej sprawie sześcioosobowej rodziny z Grójca, która spędziła Święta Bożego Narodzenia razem tylko dlatego, że sąd uwzględnił wniosek o urlopowanie czwórki rodzeństwa w wieku od 4 do 8 lat. Dziś ta sprawa znalazła swój szczęśliwy finał! Mogę Panią z radością poinformować, że dzieci naszych beneficjentów po ponad rocznej rozłące wróciły na stałe do swojego rodzinnego domu. To zasługa determinacji rodziców, profesjonalizmu naszych prawników oraz wsparcia ze strony Darczyńców i Przyjaciół Ordo Iuris!" – informuje mnie w pierwszym z brzegu mailu Magdalena Majkowska, Członek (nie członkini!) Zarządu Ordo Iuris. „Dzisiaj chciałabym podzielić się z Panią kilkoma historiami zwieńczonymi naszym wspólnym sukcesem. Bo, działając razem, przywracamy wielu rodzinom nadzieję na normalność i podajemy im rękę w czasie największej próby i wyzwania" – dodaje pani Majkowska i naparza elaboratem, którego długość nakazuje radować się z faktu, że to jednak forma elektroniczna, a nie papierowa, bo z ręką na pipie – szkoda by było tych wszystkich drzew. Naturalnie miękkim kalafiorem zwisa mi ta epopeja krzywd bachorni wydłubanej z zakamarków gównianego polactwa, niemniej zachwyca rytm tej narracji: tragedia – niebieska karta – gąszcz procedur, złośliwość urzędników, złośliwość nauczycieli, błędy sędziów – zbyt wiele dla wielodzietnej rodziny.

„To dzięki Pani wsparciu oraz dzięki wszystkim Darczyńcom i Przyjaciołom, możemy przywracać uśmiech na twarzach powracających do domu dzieci. Aby wesprzeć działania Instytutu Ordo Iuris, proszę kliknąć w poniższy przycisk" – czytam i zastanawiam się, nie czy kliknąć w link (po każdej łzawej anegdocie jest jeden – w sumie siedem na maila)… Ale ile z tych twarzy powracających do domu dzieci będzie wkrótce sinieć gdzieś między kanapą a ścianą z przybitym do niej wizerunkiem papieża Polaka, bo wszystkie te historie wyglądają jakby miały mieć swój finał na łamach „Faktu" z tytułem „Tragedia małej (wstawić dowolne imię) we wsi pod Muchosrańskiem". Nie mam czasu załamywać rąk nad tym gównem przebranym w jedwabie, bo oto pojawia się kolejny newsletter, tym razem od szefa szefów Ordo Iuris – mecenasa Kwaśniewskiego.

Atak

„Szanowna Pani, w ostatnich tygodniach mamy do czynienia ze wzbierającą falą ataków na Ordo Iuris. Już w styczniu Ordo Iuris zamieszczono na »czarnej liście« ministra Sienkiewicza, obok Caritas czy TV Republika. Następnie, nie mogąc pozbawić nas finansowania, które pochodzi wyłącznie od naszych Przyjaciół i Darczyńców, przystąpiono do kampanii oszczerstw i pomówień (…) W kolejnych oszczerczych artykułach próbują doszukiwać się źródeł naszego finansowania na całym świecie, tworząc kolejne (wzajemnie ze sobą sprzeczne) teorie spiskowe… Ale tak naprawdę doskonale wiedzą o tym, że naszą największą siłą jest nasza całkowita niezależność finansowa, którą możemy się cieszyć dzięki tysiącom polskich rodzin" – pisze Kwaśniewski.

Boleśnie przydługi maraton żali kończy ekshibicjonistycznym żebractwem: „Doceniając wartość każdej przekazanej Ordo Iuris złotówki, bronimy dobrego imienia Instytutu jedynie wówczas, gdy autorem oszczerstw jest osoba lub instytucja, której społeczne znaczenie dodaje wiarygodności wylewanym na nas kalumniom. Jednak nawet te starannie wyselekcjonowane sprawy generują znaczące koszty. Wszczęcie takiego postępowania wymaga zabezpieczenia co najmniej 8 000 zł" – stoi w mailu, a mi się robi smutno, że jestem biedakiem i mało wiem o kosztach prowadzenia takich chwalebnych kampanii, bo wydawało mi się, że według unijnego rejestru przejrzystości w 2020 r. budżet OI wynosił 1 510 462 euro, czyli około 6,7 mln zł.

Według ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. R. Dmowskiego i I. J. Paderewskiego w ciągu trzech lat istnienia przepompował 74 mln zł na środowiska ekstremistyczne takie jak Marsz Niepodległości, Straż Narodowa, Młodzież Wszechpolska czy Fundacja Witaszków – milionerów wspierających Ordo Iuris. Widać i to było za mało. Przykre. Jakby co, także i w tej wiadomości jest siedem przycisków z możliwością złożenia datku. Nie klikam, ale doceniam element humorystyczny: „Jednego z youtuberów oburzyła szeroko wypromowana akcja »Zadzwoń do posła«, w ramach której wielu naszych sympatyków dzwoniło lub wysyłało e-maile do polskich parlamentarzystów, by obudzić ich sumienia i przekonać do odrzucenia czterech aborcyjnych projektów ustaw. Youtuber postanowił zemścić się na nas i wezwał widzów do masowego dzwonienia na numery telefonów podane na stronie internetowej Ordo Iuris".

Wesoło mi, bo wiem o kogo chodzi: to komik Karol Modzelewski, który Instytut doprowadzał do wkurwu nie raz, za to raz nad wyraz skutecznie, kiedy zapiekło ich przy sikaniu po filmie na YouTub'ie „Nowiutki romans w Ordo Iuris". Wezwali wówczas Modzelewskiego do usunięcia materiału i zażądali 30 tys. zł odszkodowania. Szybko zmiękła im rura, ale uciecha trwa, bo youtuber grilluje tych katolickich fundamentalistów z namiętnością wprost proporcjonalną do ich obłudy. Pyszne.

Rozwarte pośladki

„Świadomi bezprecedensowego zagrożenia, nie możemy ulec. Musimy odeprzeć zalew kłamstw i manipulacji uderzających w nasze dobre imię, aby móc nadal stanowić tamę, która broni polskich rodzin przed antycywilizacyjnymi projektami ideologów lewicy.

Zazwyczaj proszę Panią o wsparcie naszych działań na rzecz ofiar bezprawia, czy w obronie wolności, życia i suwerenności. Dzisiaj ośmielam się jednak prosić o wsparcie finansowe, które przeznaczymy na walkę o dobre imię naszego wspólnego dzieła, którym jest Ordo Iuris.

Bardzo dziękuję za każdy gest wsparcia" – kończy mecenas Kwaśniewski.

Zastanawia mnie, czy ktoś się daje naciągnąć na tę formę mentalnej prostytucji. Możliwe, raz do roku to i kura pierdnie. Niestety dla OI, jedyny gest wsparcia na jaki mnie stać, to pozdrowienie środkowym palcem. Niemniej obiecuję solennie dalej czytać ich newslettery, otulona koniunkturą równie czułej co fałszywej czołobitności.

IDALIA DUBICKA

Robić coś z sensem wcale nie jest łatwo – pomyślałem dowiedziawszy się, że Magda Gessler została oskarżona o nielegalne reklamowanie alkoholu. Napisać coś z sensem też nie jest proste – pomyślałem sobie, czytając ustawę, na gruncie której szargają ją przed prokuraturą. Albowiem rozróżnia owa ustawa dozwoloną i niedozwoloną reklamę alkoholu.

Prawo o przeciwdziałaniu alkoholizmowi, czyli pisane z intencją ograniczenia lub likwidacji picia wódki, nie nakazuje badać bezprawności działań reklamującego na podstawie skutków poczynań: reklama skuteczna = nielegalna (bo zwiększa spożycie) reklama nieskuteczna = legalna (bo nie ma na nie wpływu) – ale w kontekście tego, kiedy i gdzie była emitowana.

Prokuratorzy na usługach gorzelników

Ustawa nie precyzuje, co jest, a co nie jest reklamą alkoholu. W związku z tym prokuratury, które obecnie prowadzą w kraju 12 spraw przeciw osobom publicznym o nielegalną reklamę, przyjmują, że reklamą jest każdy wizerunek butelki wódki lub pełnego kieliszka z napisem dajmy na to Palikot Wódka z celebrytą w tle. Instygatorzy przyjmują też, że wszelki slogan, który wspomina o alkoholu – „Czas oblać wszystko, Żołądkowa Gorzka"; „Perła Export – bez odpraw celnych"; „Wyborowa zimna na czas letni" – to promocja pijaństwa i uzależnień. Przypominam sobie zatem ten slogan z czasów II wojny, kiedy tłumaczono Niemcom, że „wódka zabija Polaków". Czy wobec dzisiejszych standardów umysłowych asesorów prokuratorskich byłaby to promocja, czy antyreklama?

Naiwnie zakładam, że prokuratorzy, oskarżając w podobnych sprawach, nie kierują się tylko literą prawa, ale i jego duchem. Być może nawet własnymi trzeźwymi rozumami, których intencją jest, żeby pospólstwo chlało mniej.

Nigdy bym się nie dowiedział, że Gesslerowa, Linda i jakaś inna Prokuś Burkuć nielegalnie reklamują, gdyby nie napisały o tym media. Zupełnie bezinteresownie, w kontekście oskarżeń prokuratury, które to teksty ilustrowane są na zasadzie cytatu owymi reklamami, które rzekomo wzmagają spożycie i są nielegalne.

Przyjmując prokuratury stanowisko, że reklama eskaluje zjawisko – ta informując o oskarżeniach (nie dowiadujemy się o tych sprawach znikąd, tylko od rzeczników prasowych prokuratur, vide Szymon Bann) nakręca promocję wódki i jej spożycie.

Efekty są odwrotne od zamierzeń ustawodawcy. W związku z tym podejrzewanie prokuratorów o głupotę jest jak najbardziej na miejscu. Niepodobna przecież myśleć, że znając ten mechanizm, uruchamiają go świadomie, bo wtedy byłaby to zbrodnia.

Warto by się zastanowić, czy nie należałoby ustawy o zapobieganiu pijaństwa doposażyć w jeszcze jeden artykuł: wtórna promocja alkoholu jest przestępstwem.

Wówczas jednak nie tylko dziennikarze piszący o sprawach szliby siedzieć. Również prokuratorzy trafiliby za kraty na zasadach sprawstwa kierowniczego. Zapewne podniosłyby się głosy zwolenników wolności prasy niedostrzegających prospołecznych aspektów cenzury w zakresie nieinformowania o ściganiu płatnych protektorów picia wódki.

Jeżeli chodzi o pragmatykę redukcji uzależnienia od alkoholu, walka przeciw jego reklamie jest niecelowa. Spożycie czystego spirytusu na głowę Polaka jest wysokie, 9–10 litrów rocznie, ale w ostatnich latach drastycznie nie rośnie. Nie zmieniło się statystycznie w minionych dwóch dekadach. Nie odbiega również od średniej w tym rejonie świata. Niemcy, Czesi, Słowacy i Węgrzy piją podobne ilości.

Reklama alkoholu nie napędza jego spożycia. Jest promocją marek i producentów, którzy

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Proboszcz parafii na warszawskim Bródnie Ryszard L. został zatrzymany przez CBA. Ze zgromadzonego materiału dowodowego wynika, że ksiądz potwierdzał przekazanie fikcyjnych darowizn na cele kultu religijnego. Darczyńcy, w związku z rzekomym przekazaniem darowizn, składając deklaracje podatkowe, pomniejszali należny podatek dochodowy o kwotę darowizny. Prokuratura prowadzi postępowanie ws. podawania przez duchownego nieprawdy w deklaracjach podatkowych w latach 2019–2023. Śledczy podejrzewają, że ksiądz przywłaszczył co najmniej 200 tys. zł i umożliwiał odpisy podatkowe, na których skarb państwa miał stracić blisko 5 mln zł. Zarzuty karno-skarbowe usłyszało też 17 osób, które miały przekazywać lewe datki. Decyzją sądu kreatywny proboszcz trafił do aresztu na trzy miesiące.

eprasa.pl f5a368e4e4

Jezusowy światopogląd zmusza do picia.

Zostań muzułmaninem

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

kosztem konkurencji chcą uskrobać dla siebie z tego rynku wartego 48 mld zł rocznie. Normalna walka o klientów jak zabieganie o kupujących proszków do prania. Ludzie nie będą prać więcej i częściej pod wpływem reklam. Chodzi o to, czy robić to będą Persilem, czy Bryzą.

Niemota abstynencji

Dużą odpowiedzialność za wysokie spożycie alkoholu w Polsce ponoszą jego fizyczni i zinstytucjonalizowani przeciwnicy. Założę się, że nie wiecie, iż Państwowa Agencja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych już nie istnieje. Taka była skuteczna, że nie zauważono, że została zlikwidowana. Obecnie jej funkcje pełni, powołane w 2022 r., mające promować trzeźwość Krajowe Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom.

Czym ono się zajmuje, można sobie przeczytać na stronie internetowej. Społeczna trzeźwość wymaga, aby Dyrektor Krajowego Centrum Przeciwdziałania uprzejmie informował, że 2 maja 2024 r. sekretariaty w dwóch lokalizacjach Krajowego Centrum czynne są do godz. 14. Gówno to kogo obchodzi. Ponadto centrum emanuje aktami prawnymi dotyczącymi anty-pijaństwa, które można sobie znaleźć w 100 innych źródłach. Zachęca, aby prosić je o objęcie patronatem honorowym jakiejś abstynenckiej demonstracji. Obywatelsko zatrzymywać pijanych kierowców.

Do tego jest wachlarz długich, nużących, zawierających miliony cyferek i setki tabelek quasi uczonych referatów, z których ma wynikać, jak ciężko pracują w tym centrum w walce ze złem, jakim jest spożywanie. Znaleźć można też informacje, że wódka jest szkodliwa, napisane z wnikliwością i talentem prozatorskim, jakim posługują się autorzy instrukcji na gaśnicach pianowych.

Przekaz podprogowy wszystkich tych zacnych publikacji jest taki: abstynencja jest nieatrakcyjna, trzeźwym być nie warto. Specjaliści od trzeźwości zasadniczo koncentrują się na obrzydzaniu ryzyka, jakie wiąże się z radością popijania alkoholu, nie będąc w stanie przekonać kogokolwiek do zalet z trzeźwości płynących.

Więcej jest argumentów za korzyściami płynącymi z niepicia, a brak tych za rozwijaniem trzeźwości. A to jednak nie to samo.

Wypadki drogowe, mordobicia, sieroctwo, noce spędzone w mokrym rowie, choroby odalkoholowe, których jest tak wiele, nie są wstanie zniechęcić nas do alkoholizacji. W pospolitym mniemaniu i hierarchii wartości zaburzenia świadomości, zamroczenia, kace oraz wszystkie te ciekawe zdarzenia, jakie towarzyszą libacjom, są atrakcyjniejsze i stojące wyżej niż – tak to powiedzmy – powszechnie akceptowana zacność wstrzemięźliwości.

Przyczyny tej impotencji promotorów trzeźwości są osobnicze i obiektywne. Trzeźwi ludzie, jak można się zorientować, nie są nad wyraz twórczy, rewolucyjni ani pomysłowi. No i tak naprawdę nie mają się czym chwalić i jak rozgrywać.

Najwięksi abstynenci w nowożytnej historii to Adolf Hitler, Donald Trump (chociaż nie pije nie z przekonania, tylko ze strachu, bo jego brat zachlał się na śmierć), Władimir Putin no i, powiedzmy, Steve Jobs. Ten ostatni po pierwsze, zmarł młodo. Po drugie, nie pił, ponieważ urodził się w muzułmańskiej rodzinie. Oba te fakty raczej świadczą przeciw abstynencji.

Natomiast garnitur dostojnych pijaków pęka od znakomitości: Winston Churchill, Elon Musk, Nicola Tesla, Vaclav Havel, Borys Jelcyn, George Washington, Aleksander Kwaśniewski, Ernest Hemingway, Elizabeth Taylor, Vincent Van Gogh, Jan Himilsbach, Otto von Bismarck, Mustafa Kemal Atatürk, Whitney Houston.

Upojeni wiarą

Trudno też wymyślić jakiś przekonywujący slogan, z którego by wynikało prawdziwie, że abstynencja pomaga. Spróbuję: „Pijaństwo trzeźwością zwyciężaj", „Trzeźwy zawsze wygrywa", „Abstynenci żyją dłużej", „Woda krzepi". No, licho mi wyszło. Infantylnie i prześmiesznie. W poprzek pospolitemu doświadczeniu.

A jak tu nakłaniać ludzi do abstynencji, kiedy piwo bezalkoholowe, w którego cenie nie ma akcyzy, kosztuje tyle samo, ile browar z procentami, od których ten podatek się płaci? Czesi wyprodukowali też wódkę bezalkoholową „Vassa Zero" – 199 zł za butelkę 0,7 l. Wyraźnie widać brak trzeźwej kalkulacji.

Rozwiązywanie tak zwanych problemów alkoholowych może być zresztą w ogóle niemożliwe z powodu zasadniczego, dla którego używa się alkoholu.

Spożywamy, aby uciec od rzeczywistości albo przybliżyć się do innej rzeczywistości wydającej się nieco lepszą. Żeby nastąpiła powszechna niechęć do korzystania z tego instrumentu, trzeba by naprawić ową rzeczywistość, od której chcemy zbiec. A ona jest popsuta na wiele sposobów i w różnych obszarach.

Owo Centrum Przeciwdziałania, aby być skutecznym, musiałoby mieć prerogatywy rządu, episkopatu, sztabu generalnego – co jest niemożliwe przy budżecie 11 mln zł, jak również zapewne niemożliwe par excellence.

Jednak jeżeli spojrzymy na światową mapę pijaństwa, zobaczymy, że są regiony, w których ono prawie zupełnie nie występuje. Nierosyjska Azja, Afryka, Oceania, no i oczywiście Antarktyda.

Jest tak dlatego, że pijaństwo, i alkohol tak w ogóle, są wynalazkiem chrześcijańskiej Europy. Nie sposób nie spostrzec, że ich ekspansja wiązała się z tak zwaną misją Kościoła, krzewieniem jezusowego światopoglądu.

Światopoglądu, który ma jedynie słuszny, nieomylny i prawdziwy wzgląd na każdą sprawę i zjawisko. Niestety jest on w wielu stycznych z rzeczywistością błędny. Uniemożliwia jej rozumienie. Wytrąca z równowagi umysły nawet niereligijne, ale gotowane w sosie chrystianizacji. Z licznymi prawdami wiary i kościelnego katechizmu nie można się zgodzić i zaakceptować ich inaczej, jak po pijaku. Kościół podarował wyznawcom na dysonans poznawczy lekarstwo. Spirytus.

Więc jeżeli rzeczywiście chcielibyśmy zredukować albo zlikwidować ochlejstwo, na czele tego centrum postawić by trzeba muzułmanina. Jakiegoś imama pokroju Muhammada ibn Hasana, jego zastępcą uczynić lamę na podobę Patrula Rinpocze, a prawą ręką uczynić bramina Raję Ram Mohana. Oni by sobie z tym poradzili, bo wiedzą jak.

Chrześcijańska mentalność obecnego prezesa Piotra Jabłońskiego nie jest wstanie pokonać chrześcijańskiej mentalności tego narodu. Niepodobna bowiem leczyć kogoś trucizną, którą jest zatruty. Potrzeba antidotum ze świata, gdzie chorobę psychiczną alkoholizmu zahamowano albo w ogóle się nie pojawiła. Polskie doświadczenia w zwalczaniu pijaństwa są złe lub żadne.

ROBERT JARUGA
robert.jaruga@doborowa.com.pl

WIARA CZYNI CZUBA

1. Na ulicach ultraortodoksyjnego osiedla Ramat Szelomo w Jerozolimie przed świętem Paschy pojawiły się plakaty wzywające do nieplucia na chrześcijan. „Musimy wspólnie zachować zasady »Derech Eretz« (właściwego zachowania) w szacunku dla całej ludzkości, nie-Żydów i osób wyznających inną religię, podczas Paschy i przez cały rok. Musimy zapobiegać i powstrzymywać innych przed pluciem w kierunku tych, którzy nie są Żydami" – głosiły plakaty. W razie, gdyby ktoś uznał, że to przejaw tolerancji, dalej następowało wyjaśnienie: plucie na chrześcijan „nie przyniesie nam korzyści, a nawet może zaszkodzić globalnemu poparciu dla wojny". A co gorzej, „niegodziwi ludzie" wykorzystują filmy, na których młodzi ludzie opluwają innowierców „jako pretekst do atakowania Żydów za granicą i oczerniania kraju i ludzi".

2. Miasto Grants Pass w stanie Oregon postanowiło uznać bezdomność za przestępstwo. Za używanie poduszek, koców czy kartonów na ulicy 1200 lokalnych bezdomnych jest karanych grzywnami liczonymi w setkach dolarów; za recydywę – zakazem przebywania na terenach publicznych. Bezdomni poskarżyli się do sądu i wygrywali w kolejnych instancjach, ale miasto wciąż się odwoływało, aż sprawa trafiła do Sądu Najwyższego. Miasto przed sądem wspiera organizacja Ewangeliczna Misja Ratunkowa, która prowadzi jedno z czterech lokalnych schronisk dla bezdomnych. Pensjonariusze muszą tam pracować za darmo przez sześć dni w tygodniu, a w siódmym – iść na mszę; dwa razy dziennie muszą modlić się w kaplicy, nie wolno im ani pić, ani palić, ani szukać pracy. Chrześcijańskie miłosierdzie w natarciu.

3. „Znowu to zrobili. To rodzaj obsesyjnej mantry, która pojawia się za każdym razem, gdy potrzebują zasłony dymnej, by odwrócić uwagę od prawdziwych problemów, z którymi mamy do czynienia i wobec których tak nieudolnie i podstępnie stosują swoje pokrętne rządy" – napisał arcybiskup Oviedo Jesús Sanz Montes w liście do wiernych. Arcybiskup odnosi się do inicjatywy lewicowego hiszpańskiego rządu, który ogłosił plan zwalczania nadużyć seksualnych i nadużyć władzy w Kościele katolickim. Rząd „próbuje w stronniczy i manipulacyjny sposób przedstawić problem pedofilii jako coś, co można przypisać tylko Kościołowi katolickiemu" – orzekł biskup i wezwał wiernych, aby stawili czoła „oszukańczym, stronniczym lub fałszywym informacjom i pokornie powiedzieli, jak wiele dobrego robimy jako wspólnota chrześcijańska".

4. Stan Oklahoma zezwala na stosowanie kar cielesnych w szkołach publicznych. Nie wolno lać jedynie uczniów z „najbardziej znaczącymi upośledzeniami poznawczymi". Ostatnio w stanowym kongresie pojawił się projekt ustawy zabraniającej „bicia, policzkowania, lub używania jakichkolwiek innych środków zadawania bólu fizycznego" wobec wszystkich uczniów z orzeczeniem specjalnych potrzeb edukacyjnych. Republikanin Shane Jett oprotestował projekt, albowiem niebicie dzieci jest pomysłem komunistycznym. „Dr Benjamin Spock opublikował książkę, która mówiła: »Nie dawaj klapsów swoim dzieciom«. Wiele osób nie wie, że dr Benjamin Spock był socjalistą, który kandydował z ramienia Partii Ludowej. Oznacza to, że jest komunistą. Czy chcemy pokazać, że nie kochamy naszych dzieci?".

✚ Wiele wskazuje na to, że tarnowska kuria wpadła w niemałe tarapaty. Grupa ośmiu byłych ministrantów, którzy padli ofiarą molestowania seksualnego ze strony księdza Mariana W., domaga się od diecezji tarnowskiej odszkodowania w kwocie 12 mln zł. Wcześniej kuria odrzuciła propozycję ugody z ich strony. Pokrzywdzeni skierowali już odpowiednie pismo do sądu na drodze cywilnej. To pokłosie głośnej sprawy. Marian W. po wyświęceniu na księdza pracował w kilku parafiach diecezji tarnowskiej. Proboszczem był w Grywałdzie (pow. nowotarski), Grobli (pow. bocheński), Szalowej (pow. gorlicki) oraz Kiczni (gm. Łącko). W 2019 r. doszło do oficjalnego zgłoszenia nadużyć klechy. Pokrzywdzeni zwracają jednak uwagę, że tarnowska kuria mogła już wcześniej otrzymywać niepokojące sygnały dotyczące duchownego, co mogło być powodem częstych zmian parafii przez księdza. Marian W. został wydalony ze stanu duchownego, a na początku roku Sąd Rejonowy w Nowym Targu zdecydował po niespełna czterech latach o powtórzeniu procesu karnego w jego sprawie.

Rys. WIDGET

✚ Do Prokuratury Rejonowej w Nowym Targu wpłynęła skarga na działalność jednego z pracujących w tej jednostce śledczych. Zażalenie dotyczy prokuratora, który w wielkanocny poniedziałek został wezwany na miejsce tragedii, która wydarzyła się w Rabce Zdrój, kiedy w wyniku wichury spadające drzewo śmiertelnie przygniotło tam trzy osoby. Śledczy po przybyciu na miejsce zdarzenia, będąc w trakcie wykonywania czynności procesowych, w tym oględzin ciał poszkodowanych, nie dopuścił do ofiar księdza z ostatnim namaszczeniem. Postępowanie dyscyplinarne w związku z tym samym wydarzeniem ma też jeden z nowotarskich policjantów, który, opisując akcję w mediach społecznościowych, kleszy sakrament nazwał czarami. Okazuje się, że Bolesław Prus znalazłby solidne źródło inspiracji do opisywania zacofania i zabobonów w społeczeństwie również współcześnie.

✚ W sobotę 27 kwietnia w poznańskim kościele św. Karola Boromeusza na Osiedlu Pod Lipami doszło do nietypowego incydentu. Uczestnicząca w nabożeństwie kobieta ustawiła się w kolejce do przyjęcia komunii świętej, kiedy jednak nadeszła jej kolej, nie włożyła wafla do ust, ale oddaliła się z nim w kierunku ławki. Na prośbę zaniepokojonego niespodziewanym obrotem spraw księdza o spożycie bądź oddanie komunikantu, kobieta zaczęła negować istotę kapłaństwa i obecność Chrystusa, po czym rozkruszyła opłatek na kawałki i rzuciła je na podłogę. Ksiądz po niezwłocznym pozbieraniu i spożyciu drobin wezwał policję. Mimo że kobieta oddaliła się z miejsca zdarzenia, dzięki zeznaniom świadków oraz monitoringowi jej tożsamość została ustalona i wszystkie wafelki będą już bezpieczne. Małgorzata Meloch rzeczniczka Komendy Miejskiej Policji w Poznaniu potwierdziła w rozmowie z mediami, że najprawdopodobniej sprawa będzie rozpatrywana pod kątem złośliwego przeszkadzania w publicznym wykonywaniu kultu religijnego. Za czyn ten grozi kara grzywny, ograniczenia wolności lub pozbawienia wolności do lat dwóch.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl f5a368e4e4

Für Deutschland nad Wisłą

Tani jak Polak.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

20 lat po wejściu do UE dobijamy w Polsce do 10 tysięcy firm, które mają co najmniej jednego właściciela z Niemiec. Większość z nich wybiera lokalizacje z granicznymi landami – przepraszam: województwami. Czy zatem, zgodnie z powtarzanym od lat przez pisowską propagandę wymierzoną w Donalda Tuska hasłem „für Deutschland" i lękami prawicy od dekad, właśnie przychodzą Niemcy i nas wykupują?

Jeśli wziąć pod uwagę, że korporacje zza zachodniej granicy po latach straszenia swoich pracowników przeniesieniem produkcji do Polski, aby ograniczyć ich oczekiwania płacowe, w coraz większym stopniu zaczynają spełniać swoje groźby, to sytuacja robi się ciekawa. A może nieciekawa – zależy, z czyjej perspektywy spojrzeć.

Szturm na Wschód

Pod koniec kwietnia Federalny Urząd Statystyczny w Wiesbaden podał dane dotyczące kosztu dla pracodawców jednej godziny pracy w przemyśle i prywatnych usługach za 2023 r. w całej Unii. Okazało się, że – nie licząc malutkiego Luksemburga – najwięcej godzina tyry kosztuje w Danii (ponad 48 euro), Belgii (więcej niż 47 euro) i w Niemczech (ponad 43 euro). Największe eldorado mają pracodawcy w Bułgarii (nieco ponad 8 euro za godzinę), Rumunii (11 euro) i na Węgrzech (niespełna 13 euro). Nasz kraj plasuje się w dolnej części tabeli, z kosztem godziny pracy rzędu 14,5 euro czyli znacznie mniej niż w Czechach – 18 euro.

Nie dziwota zatem, że niemieckie firmy coraz częściej przenoszą produkcję do Polski. I dotyczy to takich ikon przemysłu jak Miele – od 2027 r. wszystkie swoje pralki będzie montował w fabryce w Ksawerowie pod Łodzią. W zeszłym roku obroty Miele spadły o ok. 9 proc., więc w ujawnionych w mediach wewnętrznych informacjach dla personelu napisano – używają korpogadki – „to, czego obecnie doświadczamy, nie jest tymczasowym spadkiem w gospodarce, ale trwałą zmianą warunków ramowych, do której musimy się dostosować". Taki milutki prezent dano w 125. rocznicę powstania firmy parunastu tysiącom pracowników – z załogi liczącej ogółem 23 tys. ludzi – w Niemczech.

200 mln euro zainwestował dwa lata temu producent ogrzewania Viessmann, co przyniesie ok. 3 tys. miejsc pracy w Legnicy.

Brukowiec „Bild" uprzejmie doniósł, że firma wysyłkowa Otto (u nas znana pod marką Bonprix) – powstały w Niemczech Zachodnich w 1949 r. globalny gigant i drugi po Amazonie koncern w tej branży za Odrą – otworzy kolejne duże centrum logistyczne w Iłowej pod Żaganiem, dając robotę 1900 osobom.

Gwoli ścisłości, w Iłowie zatrudnia wchodząca w skład koncernu Otto spółka Hermes Fulfilment. Szuka ona pracowników, bo będzie obsługiwać głównie rynek niemiecki – od poniedziałku do niedzieli, przez 24 godziny. W ogłoszeniach Hermes reklamuje się następująco: „Jesteśmy zaangażowani w wartości takie jak duch pracy zespołowej, kreatywność, uważność i różnorodność. Innowacyjność jest dla nas nie tylko słowem kluczem, ale realizowaną praktyką dzięki otwartości na technologie takie jak robotyka i sztuczna inteligencja; to właśnie one stanowią naszą konkurencyjną przewagę".

Natomiast w serwisie z opiniami o pracodawcach, wyróżniono słowa byłego operatora produkcji, który określił pracę w Hermesie słowem „kołchoz", dodając: „Trzymajcie się z daleka. Bardzo nieprzyjemna atmosfera. Zimno na hali. Nikt nie tłumaczy co robić. Liderka obrażona jak ktoś o coś zapyta. Najniższa krajowa. Ogólna ocena: bardzo źle. Nie polecam nikomu".

Raj dla pracodawców

Dość obrzydliwie – pomijając już, że idiotycznie – brzmią peany polskich portali biznesowych, które cieszą się, że kolejne korporacje zagraniczne, zwłaszcza niemieckie, przenoszą produkcję do naszego kraju. Jaką mamy prężną gospodarkę, szybko się rozwijamy, przyciągamy międzynarodowy kapitał i takie tam.

Rzecz jednak w tym, że Polska – nie piszę Polacy, bo często pracują u nas ludzie z Ukrainy czy innych państw poradzieckich, a coraz częściej z państw afrykańskich czy azjatyckich – oferuje tanią (wciąż za tanią!) siłę roboczą, która jest stosunkowo wysoko wykwalifikowana. No i jesteśmy krajem unijnym, więc nasze fabryki – a raczej montownie – i centra logistyczne korzystają ze wspólnego rynku europejskiego, a geograficznie łączymy wschód z zachodem oraz północ z południem. W kategorii „jakość do ceny" nasza siła robocza jest wręcz nie do pobicia.

Z punktu widzenia wielkich koncernów nie do pogardzenia jest też niski stopień uzwiązkowienia rodzimych pracowników. Gdy nie ma silnej, a często jakiejkolwiek reprezentacji załogi, pracodawca może robić, co chce i chętnie z tego nieuprawnionego przywileju korzysta.

Globalnym korporacjom sprzyja też marne prawo i niewydolny system funkcjonowania sądów pracy. Weźmy przykład sprzed paru tygodni: dopiero wtedy zapadł prawomocny wyrok nakazujący wyzyskiwaczom z Amazona przywrócenie do pracy zwolnionej dyscyplinarnie w listopadzie 2021 r. Marii Malinowskiej. Zbrodnią tej kobiety, społecznej inspektorki pracy i działaczki bojowego związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza, było poinformowanie „Gazety Wyborczej" o tragicznych warunkach zatrudnienia w firmie. W tym zwrócenie uwagi na śmierć 49-letniego Dariusza Dziamskiego, który zasłabł w magazynie Amazona przed rozpoczęciem porannej zmiany.

I tu nie sposób nie zwrócić uwagi, że PiS, który tak psioczył na sędziów za skazywanie ludzi na pakę za kradzieże batonów czy bułek, przez osiem lat nie zrobił nic – absolutnie nic – żeby firmom (zwłaszcza tym mającym potężnych zagranicznych protektorów politycznych) nie opłacało się łamać kodeksu pracy, a sędziowie mogli wlepiać im wielomilionowe kary. Napędziłoby to głosów PiS-owi, ale on zdawał sobie sprawę, że może go odsunąć od żłobu nie tylko ulica, ale i zagranica.

Co mi przypomina z kolei opowieści o pewnej powszechnie znanej azjatyckiej firmie, w której nie tylko mobbing psychiczny był i jest na porządku dziennym, ale zdarzało się szarpanie i nawet policzkowanie podległego personelu. Skończyło się dopiero wtedy, gdy krewki robotnik wysłał do szpitala swojego menedżera ze złamanym nosem. Rzecz jasna, takie porządki w tym koncernie byłyby nie wyobrażalne w Niemczech czy innych cywilizowanych krajach…

U nas, przynajmniej do pewnego momentu, nikt się tym nie zajął, włącznie z tymi wszystkimi mediami, które wylewają krokodyle łzy nad niedolą biznesu, jakoby sekowanego przez podatki, nieprzyjazne urzędy i sądy, że o chciwych pracownikach, niechcących pracować za miskę ryżu – o czym tak marzył w niesławnym nagraniu Pinokio – nie wspomnę.

Polskie porządki

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że wiele koncernów, w tym niemieckich, będzie swoje montownie czy centra logistyczne lokować w Polsce. Robotnik nad Wisłą i Odrą nie jest taki wydajny jak w Europie Zachodniej, ale jest o wiele tańszy. W sumie: to się opłaca. Tylko komu?

Na pewno opłaca się zagranicznemu kapitałowi i tym wszystkim polskim biznesmenom, którym trafią się okruchy z pańskiego stołu. Na pewno nie opłaca się niemieckim czy francuskim robotnikom, którzy tracą często dość stabilną i nie najgorzej płatną pracę.

Ale czy jakoś szczególnie opłaca się robotnikom w Polsce, a nawet krajowi jako takiemu?

Rząd Tuska powinien kontynuować skokową podwyżkę pensji minimalnej, by wypychać najgorszych pracodawców, bazujących na wyzysku siły taniej i mało skłonnej do protestów.

Śmieciowa praca nie rozwija kraju pod żadnym względem, na dłuższą metę powoduje degradację wszelkiego rodzaju zasobów, które można by wykorzystać dla sensownego rozwoju.

Kiedy więc kolejny Hans czy Helga straci pracę w Bawarii, to niech Janusz i Grażyna na Dolnym Śląsku czy w lubuskim nie otwierają butelki harnasia, bo po paru latach fabryka przeniesie się do Bułgarii, zapewniając robotę za jeszcze mniejsze pieniądze Georgiemu i Wiktoriji…

Z.J.

Klątwa

O psach na poczcie i w bunkrze Hitlera.

Posiadanie psa i generalne dbanie o zwierzęta ponoć poprawia wizerunek. Takiemu Hitlerowi to jednak nie pomogło. Widać udawał. Swoją ostatnią sukę, owczarka niemieckiego Blondi, zabrał wraz z narzeczoną Ewą Braun do berlińskiego bunkra. Tam się oszczeniła (suka, nie narzeczona) i tam Adolf podał im cyjanek; najpierw Blondi, a później blondynce Braun.

Teraz na tak zwanej „miłości do zwierząt" wypierdala się Poczta Polska. Wielki skład tandety, tanizny, grafomańskich książczyn i świętojebliwych grafomańskich książczyn, maskotek, bombonierek, portfelików, gumek, kredek i długopisów. Zakup psich misek dla każdego oddziału pocztowego przelał czarę pracowniczej goryczy. Pies wam mordę lizał! Pocztowcy grożą strajkiem generalnym, a wkrótce ma odbyć się dwugodzinny strajk ostrzegawczy. To mnie akurat nie przeraża – w końcu pańcie na poczcie pracują tak, jakby zawsze trochę strajkowały.

Miska miską, ale ważne żeby była w niej woda! I tu raptem co się okazuje? „Kupno misek do placówek dla PP może nie jest spektakularnym wydatkiem, ale pracownicy zaznaczają, że spółka ma ważniejsze problemy i wydatki. Na forum wskazują, że w sytuacji, gdy brakuje pracowników w regionach, a jakość usług spada, teraz ma być wyznaczona osoba do pilnowania miski i uzupełniania w niej wody. A wszystko w ramach dotychczasowych obowiązków" – napisała „Rzepa". Rzeczywiście po łokcie można się urobić, jak człowiek musi kilka razy dziennie dolać wody do miski. Szczególnie w takie upały. Ale – na pocztach jest klima? Tym gorzej! Trzeba wynieść tyłek na zewnątrz. Mus się człowiek przeziębi! Pies, wróbel, gołąb, kot może sobie na upale zdychać.

80 proc. placówek Poczty Polskiej nie przynosi zysku. Również 80 proc. pracowników zarabia płacę minimalną (info za marcową komisją senacką). Jednak zawsze to była tak zwana pewna praca, dożywocie, „czy się stoi czy się leży"… W niektórych małych miejscowościach poczta to plotkownia, kiosk, bank, placówka, hmmmm, kultury. Muzeum Wyklętych i kościół. Aż cud, że jeszcze nikt nie pomyślał, aby zrobić na pocztach wypożyczalnię różańców. Poczta dawno przestała być pocztą – jako wodopój dla zwierząt ma szansę po latach być instytucją przydatną.

Rzepa dodaje, że przeciwko zakupowi misek dla psów wystąpiły wszystkie związki zawodowe pocztowców. A ja się rechoczę… Jasne – najlepiej skopać, i to w upały, najsłabszego. W dodatku psy nie mają duszy! To te psy wam winne redukcji pięciu tysięcy etatów. Te psy…

Na mojej ośce, pod starym drzewem, od lat wiosną i latem stoi wielka micha z wodą dla zwierząt. Kiedyś ktoś ją zajebał, i znowu, i znowu. Na pniu drzewa pojawiła się kartka – „Złodzieju! Obyś zdechł z pragnienia!". Klątwa najwyraźniej zadziałała, bo po kilku dniach problem się rozwiązał. Ptaki moczyły dzioby, psy kufy, koty pyski…

IZABELA SZOLC

PS. Z pięciu szczeniaków Blondi znany jest tylko los Małego Wolfa – cyjanek na niego nie zadziałał, został dobity strzałem w łepetynkę. Co się stało z pozostałą czwórką? Nie wiadomo, kiedy Hitler ginął miały dwadzieścia parę dni i już otwarte oczy. Dobrze jest myśleć, że szczenię „po Hitlerze i Blondi" było tyle warte, że ktoś odchował je na butelce. Albo że po prostu ktoś nie chciał, aby psiaki umarły.

Rys. Widget

eprasa.pl f5a368e4e4

ETYKA BEZBOŻNA

Dziaders przeciwko luzowaniu okrucieństwa.

Kononowicz i Szekspir

Podobno Krzysztof Kononowicz znika z internetu. Czy faktycznie tak się stanie, to się jeszcze okaże, chociaż mogę sobie wyobrazić, że ci, którzy w ostatnich latach zarabiali na publikowaniu filmików z tym nieszczęśliwym i nieszczęsnym człowiekiem, z takich czy innych powodów na razie sobie odpuścili. Może sprawy zaszły już dla nich za daleko. Może pali im się grunt pod nogami. Może wdał się prokurator. A może po prostu ich ofiara została wyeksploatowana do cna. Przypuszczam, że stan zdrowia Kononowicza miał tu znaczenie decydujące.

Tak czy inaczej ogłoszenie końca kariery „polskiego działacza politycznego i samorządowego, aktywisty lokalnego, wideoblogera i patostreamera" (jak charakteryzuje go Wikipedia), zasługuje na komentarz etyczny. I może warto go zacząć właśnie od Wikipedii, która z racji właściwej encyklopediom stylistycznej powściągliwości, w jakiś paradoksalny i przewrotny sposób normalizuje i legalizuje coś, co przecież jest ewidentnym draństwem.

Krzysztof Kononowicz jest upośledzonym umysłowo mitomanem, z którego banda cwaniaków zrobiła sobie nieprzyzwoitą zabawę „w darcie łacha", a następnie regularny interes, korzystający z bezmyślnych (a może raczej cynicznych w swym nieodróżnianiu dobra od zła) algorytmów mediów społecznościowych. Wikipedia powiedzieć tego nie może, gdyż twierdzenia takie nie mają wystarczających podstaw w dowodach, których wymaga metodologia opracowywania haseł encyklopedycznych. Dlatego i ona okazała się narzędziem w tej haniebnej mistyfikacji igrającej z ludzką godnością i kpiącej z zasad przyzwoitości. Ze swoją „serioznością" hasło „Krzysztof Kononowicz" wpisuje się w „patoprojekt Kononowicz", będący wielopoziomową zgrywą, w której przemoc i okrucieństwo owinięte są w lepkie pozłotko humoru i draki.

Jak coś jest „jajcarskie", to staje się nietykalne. Tak to już jest w naszych czasach. Nikt nie chce, by wytknięto mu, że nie zna się na żartach. Przecież tylko tępak i buc nie mają poczucia humoru, prawda? Lepiej więc wyluzować. Jednak ja jestem tak wredny dziaders, co nie luzuje tak łatwo, a humor zachowuje na okazje inne niż ekscytowanie się obscenicznym i bezcelowym pokazywaniem tego, co w człowieku żałosne i godne politowania. I nie chodzi wcale o to, co kogo bawi, ani nawet o to, co wypada, a co nie. Chodzi o to, co dzieje się w człowieku, który tworzy i emituje takie treści, jak filmiki z Kononowiczem (i wiele innych, podobnych). A dzieje się źle.

Najmniej winny jest w tym wszystkim sam Kononowicz. Jego świadomość i rozumienie własnych czynów są ograniczone. Raczej trzeba w nim widzieć ofiarę niż sprawcę, choć nieraz był w konflikcie z prawem. Czy miał rozeznanie, w jaki sposób go wykorzystano? Do końca nie mógł tego rozumieć, lecz zapewne na jakimś poziomie, może nie całkiem świadomie, przeżywał upokorzenie. W końcu gdy jesteś narzędziem kpin i brewerii, to musisz to jakoś czuć.

Z drugiej strony miał powody, aby widzieć w tych ludziach, którzy w 2006 r. zaproponowali mu „start w wyborach" prezydenta Białegostoku, a następnie zaczęli nagrywać niezliczone filmy z jego udziałem, swego rodzaju opiekunów i dobrodziejów.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przecież dawali mu jakieś pieniądze, opiekowali się nim. Tak to zresztą bywa najczęściej pomiędzy sprawcami przemocy a ich ofiarami.

Stosunki między nimi są dwuznaczne i nieprzejrzyste, tak żeby ofiara nie do końca wierzyła, że jest ofiarą, a sprawca, że jest sprawcą.

Organizatorzy draki z „wyborami" występują zresztą z otwartą przyłbicą. Jeden z nich tłumaczył ekipie programu „Sprawa dla reportera", że to było coś w rodzaju happeningu, uprawnionej satyry, w której główny bohater został potraktowany uczciwie i opiekuńczo – jako osoba „upośledzona umysłowo w stopniu umiarkowanym".

W naszych czasach wszystko może być przedmiotem kpiny i kontestacji. Wszystko też można ogrywać happeningiem. To prawda i pewnie jest to wartościowa zdobycz w trwającej już całe wieki walce o wolność słowa i ekspresji. Nie ma świętości i dobrze, że nie ma. Ale nie znaczy to, że w ramach happeningu wolno wszystko. Bynajmniej. I warto może sobie uświadomić, czego konkretnie nie wolno, gdy tak się wesoło dokazuje.

Na pewno nie wolno zabawiać się kosztem cudzej słabości czy choroby. Kononowicz jest osobą słabą i bezbronną. Można od biedy raz wciągnąć kogoś takiego w jakiś żart, którego sensu nie będzie rozumiał, lecz wyłącznie w dobrej wierze i dla jakiegoś wartościowego celu. Wykpiwanie demokracji albo „odkrywanie mentalności prostego człowieka" akurat na usprawiedliwienie takiej manipulacji się nie nadają. Może jakaś akcja na rzecz udzielania pomocy środowiskowej osobom częściowo niesamodzielnym życiowo? Kto wie. Mogę sobie wyobrazić akcje na krawędzi dobrego smaku, ale to chyba nie na głowę organizatorów tego uporczywego procederu, zwanego uczenie i przez to nazbyt łaskawie patostreamingiem.

Otóż to, co kryje się za tą nazwą, jest czystym amoralizmem i patologią niedającą się usprawiedliwić żadnym realizmem ani walką o poszerzenie wolności ekspresji. Pokazywanie wulgarności, okrucieństwa, chamstwa i brutalności to coś więcej niż obsceniczność i zgorszenie – to po prostu zachęta. Tym bardziej, że obrzydliwe i żenujące scenki są w dużej mierze aranżowane. Tym samym zalewające internet miliony patostreamów to nie tylko zło zarejestrowane i reklamowane, lecz specjalnie na tę okazję tworzone.

Fascynacja głupotą, dzikością, przemocą, chamstwem i prostactwem jest zjawiskiem powszechnym w kulturze i trwałym. Bo też jest coś wyzwalającego w odblokowywaniu hamulców i oddawaniu się spełnianiu ukrytych, prymitywnych pragnień. Chciałoby się czasami być wulgarnie spontanicznym i bezmyślnie agresywnym – jak zwierzak. I kultura dostrzega tę ludzką potrzebę, czasami tworząc na jej gruncie wartościowe dzieła jak „Filozofia w buduarze" markiza de Sade. Jednakże różnica pomiędzy serialem z Kononowiczem w roli głównej a pornograficznymi powieściami markiza jest taka jak między gównem a tabletkami na zatrucia zawierającymi bakterie jelitowe. A swoją drogą Kononowicze w literaturze jak najbardziej mają swoje miejsce. Weźmy chociażby Spodka z szekspirowskiego „Snu nocy letniej". Kto tworzy i ogląda „patole", ten sam, nie wiedząc kiedy, zniża się do poziomu tego, co pokazują te filmiki. A kto ogląda „Sen nocy letniej", sam nie wiedząc kiedy, staje się człowiekiem kulturalnym. Jak mówią reklamiarze, wybór należy do ciebie.

JAN HARTMAN

Dajcie żyć… i kochać!

Film duetu Szumowska – Englert to punkt obowiązkowy dla polityków.

Nowy film „Kobieta z…" Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta to przede wszystkim przenikająca do szpiku kości i spełniona historia miłosna. Ale ten film to także punkt obowiązkowy dla wszystkich polityków, których działalność – a raczej jej brak – powoduje, że w Polsce wciąż żyją całe wykluczone grupy. To także punkt obowiązkowy dla wszelkiej maści politykierów, komentatorów, „znawców" i „ekspertów" od cudzych żyć – tych, co to lepiej wiedzą, jak mają żyć inni i ochoczo oceniają i ustawiają im te życia.

• • •

Wciąż chodzi mi po głowie napis na transparencie, jaki zobaczyłam na zdjęciu dokumentującym jeden z marszów równości – „Dajcie żyć!" Tyle, tylko tyle i aż tyle! Nie sposób pozbyć się wrażenia, że raz – piekło to inni; dwa – z jakąż lubością je stwarzamy ludziom słabszym, próbującym się pozbierać, odkryć, dojść do siebie samego czy samej.

Niby każdy może być kiedyś w takiej sytuacji zagubienia, ale szczególnie trudna wydaje się być ona dla Andrzeja/Anieli. Kobiety, która za sprawą igraszki losu, czy raczej igraszki embriologii, urodziła się w ciele mężczyzny. Ile wtykających się w jej życie cwanych ryjów musi znieść! Ile opinii „ekspertów"! Niechęci i rozczarowania płynących z najbliższego otoczenia…

Największą siłą filmów Szumowskiej jest realizm, oswojenie z ciałem, swobodne podawanie emocji i jakby przejrzystość – tak przejrzystość kadru, jak i nawet najbardziej skomplikowanych relacji. To wielka sztuka, której absolutnym mistrzem był Ingmar Bergman, a z żyjących zbliżył się do niej Michael Haneke. Choć Haneke bywa okrutny, bardzo okrutny, a Szumowska – nigdy. Należy jasno stwierdzić, że dla ludzi, którym historia obecna na ekranie nie jest obca w życiu prywatnym, seans filmowy będzie jazdą bez trzymanki. I będzie… bolał. Katharsis nadejdzie.

• • •

O wystrzałowej roli Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik (Aniela/Andrzej) wiele już napisano. Joannę Kulig (Iza, żona Andrzeja) można łyżkami jeść! Absolutnie należy się zatrzymać przy kreacji jej młodszego alter ego, czyli 23-letniej Bogumiły Bajor. Petarda!

Mnie zaś cieszy jak cholera, kiedy widzę dopracowany w każdym calu – tak literackim jak i estetycznym – polski film. Film przy którym nie szczędzono pracy ani środków, a przede wszystkim ktoś wiedział, jak to wszystko ogarnąć.

Jest scena, w której Andrzej/Aniela przytrzymuje sąsiadce torbę z małym psem. Sąsiadka informuje, że psiak przestał chodzić i trzeba go będzie uśpić… Dobry był, ale jednak psiak, który nie chodzi, dobry być przestaje… Chwilę wcześniej w rozmowie telefonicznej Andrzej deklaruje się jako kobieta, a jeszcze wcześniej jesteśmy świadkami jego impotencji. Tego, jak ten małżeński brak predystynujący prawnie i emocjonalnie do rozwodu wpływa na Izę – trudno wtedy nie pomyśleć o rolach społecznych, jakie nasz świat narzuca to ludziom, to zwierzętom i jak mocno próbuje je egzekwować. A tych, którzy nie są w stanie tego robić, pragnie skazywać w najlepszym przypadku na gównianą litość. Dalej – śmierć cywilną. Głęboki ostracyzm… Narzucone umieranie… Wciąż musimy się spełniać w potrzebach innych.

• • •

Co ciekawe, film otwierają sekwencja komunijna i scena z komisji wojskowej – można uznać, że wytycza to role bohaterów. Kościół i wojsko. Duch i ciało. Prosto, bardzo prosto, zbyt prosto? Zostaje to jednak później intrygująco przełamane scenami z klasztoru, w którym zatrzymuje się Aniela, korzystając z gościny w domu pielgrzyma, kiedy nie ma się gdzie podziać. To istotne, bo nie tylko przerzuca narrację na wyższe intelektualne piętro. Pokazuje klasztor jako miejsce schronienia przed piętnującym, złym i zaściankowym społeczeństwem, a nie miejsce opresji. Miejsce zdumienia, poznania i prób akceptacji – z obu stron. A nie – płonących stosów. Także zrozumienia pomiędzy kobietami, czyli Anielą i zakonnicami.

Dopiero postać kapelana więziennego ustawia relację pomiędzy świecką osobą transpłciową a duchownym z powrotem na zasadach, do których jesteśmy przyzwyczajeni: delikatnie mówiąc – kompletnej ignorancji i potępienia. Zwracam na to uwagę szczególnie Czytelnikom tygodnika „NIE". A jeśli chodzi o hipokryzję naszego dnia codziennego, to popatrzcie na kreację Tomasza Schuchardta jako endokrynologa…

Powracam do prośby wyrażonej na podpatrzonym transparencie, tyle że podaję ją w roli pytania – dlaczego nie dajemy sobie wzajemnie żyć?

Dlaczego do kurwy nędzy tak trudno jest zasłużyć na miano nie tylko kobiety czy mężczyzny, ale przede wszystkim – człowieka?

Film, do wielokrotnego obejrzenia. Film, który już jest klasykiem.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl f5a368e4e4

Dla demografii nowa definicja gwałtu będzie gorsza od antykoncepcji.

Seks tylko u notariusza

Od dziesięciu lat obowiązują przepisy, które miały spowodować, że zgwałcenia staną się równie nieczęste jak katastrofy lotnicze. Trochę pomogło. Statystyki gwałtów spadły z dwóch do półtora tysiąca rocznie. Teraz w sejmie procedowany jest kolejny projekt nowelizacji kodeksu karnego. Wnioskodawczynie przekonują, iż tym razem liczba gwałtów naprawdę spadnie. Karniści i adwokaci twierdzą, że po wejściu nowej definicji gwałtu skoczą statystyki, a wraz z nimi liczba niesłusznie posądzonych.

Seksuolodzy są sceptyczni z zupełnie innego powodu. Ich zdaniem dzięki wprowadzeniu nowych przepisów, seks zamiast emocji i radości będzie się teraz wiązał z biurokratycznymi przepychankami, zaburzeniami popędu i brakiem erekcji, na który nie pomogą najwymyślniejsze specyfiki.

Gwałt urzędowy

Dziesięć lat temu sejm – przy jednym głosie wstrzymującym się – klepnął nowelizację, która pozwalała na wszczynanie śledztw o przestępstwa przeciwko wolności seksualnej bez wniosku ofiary. Do takiej zmiany zobowiązała nas podpisana przez Polskę w grudniu 2012 r. konwencja Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet.

W 80 procentach tego typu spraw gwałcicielem jest ktoś z najbliższego otoczenia ofiary: mąż, konkubent, chłopak. Nie dziwi zatem, że bardzo często zdarzało się, iż ofiara składała, a potem wycofywała wniosek o ściganie, co powodowało umorzenie sprawy. Teraz każdy zgłoszony gwałt trafia do prokuratora; ofiara nie ma już nic od gadania.

Wszczynając sprawę z urzędu, prokurator nie musi się bać, że panna zmieni przed sądem – albo i wcześniej – zeznania i zamiast kolejnego sukcesu, oskarżyciel odnotuje umorzenie, albo klapę na sali rozpraw. Kolejną częścią nowelizacji KK sprzed dekady była bowiem zasada, że ofiary przestępstw seksualnych są przesłuchiwane w całym postępowaniu tylko raz – w specjalnym, przyjaznym pomieszczeniu i w obecności psychologa. Dźwięk i obraz z przesłuchania jest nagrywany i odtwarzany na rozprawie sądowej. Powtórne przesłuchanie w sądzie jest możliwe tylko wyjątkowo i – aby ograniczyć stres ofiary – może być dokonywane za pomocą telekonferencji, bez konieczności bezpośredniej konfrontacji na sali sądowej pokrzywdzonego z oskarżonym.

Gwałt dobry na wszystko

Oczywiście pomysł chronienia ofiary gwałtu przed kolejnymi ekspiacjami ma głęboki sens. Opowiadanie enty raz, przy ludziach, jak się było gwałconą w dyskotekowym kiblu przez narąbanego mięśniaka, jest przeżyciem dorównującym samemu zgwałceniu. I ofiara gwałtu jak najsłuszniej musi być w takiej sytuacji chroniona prawem.

Z drugiej strony: co zrobić z nagminną, zdaniem policji, sytuacją, gdy napita panna idzie na całość z poznanym w klubie facetem, a rano dociera do niej, że będzie miała przerąbane w domu, a narzeczony ją rzuci? Zamiast tłumaczyć się przed najbliższymi, panna śmiga więc do komisariatu i mówi, że została zgwałcona. Jakie szanse procesowe ma w takiej sytuacji facet? Jak może skonfrontować swoją wersję z wersją osoby skarżącej? Lata temu, wobec konfrontacji w sądzie, wiele kobiet odpuszczało; czasem w interesie prawdy obiektywnej, czasem ze strachu, a czasem dla świętego spokoju. Dziś, nawet gdyby sumienie kazało im powiedzieć prawdę, na nagranym zeznaniu ich rola procesowa właściwie się kończy, a klubowy podrywacz idzie siedzieć.

Dodatkowo, prokuratura uznaje dziś, że trauma spowodowana gwałtem może sparaliżować psychicznie ofiarę nawet na kilka miesięcy, a nawet lata. Gdy minie, poszkodowana składa doniesienie i jest traktowana przez wymiar sprawiedliwości na równi z kobietą w porwanym przyodziewku, z siniakami oraz nasieniem sprawcy. Dla sądu takie sprawy to ruletka. Niewiasty mogą przecież zarówno imaginować, mówić prawdę lub kłamać. Jak sąd ma to zweryfikować bez fizycznych dowodów przestępstwa, wyłącznie oglądając ekran monitora?

Jednorazowe przesłuchanie dotyczy nie tylko zgwałceń, czyli artykułu 197 kk. Umniejsza również procesową rolę osób poszkodowanych w myśl art. 199, par. 1: „kto, przez nadużycie stosunku zależności lub wykorzystanie krytycznego położenia, doprowadza inną osobę do obcowania płciowego”… Pani, której podpadnie szef, nie musi się już pojawiać na dziesiątkach rozpraw. Nie musi świecić oczami przed oskarżonym, prokuratorem i sędzią. Nagrywa zeznanie i kropka.

To nie koniec komplikacji. Według działaczy praw kobiet do gwałtów najczęściej dochodzi w małżeństwach. Może dlatego, że do wielu Polaków nie dociera fakt, że dawanie mężowi nie jest psim obowiązkiem żony. Ten fakt mogą jednak wykorzystać adwokaci pań, które chcą przy rozwodzie zatrzymać dzieci, albo i mężową willę. Dekadę temu mecenasi doradzali w takiej sytuacji kobietom poobijanie się o meble i szybką obdukcję. W sytuacjach ekstremalnych prawnik doradzał oskarżenie męża o kazirodczą pedofilię. Teraz arsenał rozwodowy jest rozszerzony o gwałt. Mąż skazany w procesie karnym – w którym żona nie musi występować – to pewny sukces przy podziale majątku i dzieci.

Ofiary gwałtów mają różną odporność psychiczną. Dla jednych gwałt jest traumą uniemożliwiającą normalne funkcjonowanie, dla innych zaś jednym z doświadczeń, z których przyszło im się zmierzyć. Uniemożliwianie zarówno jednym, jak i drugim występowania przed sądem mści się na wymiarze sprawiedliwości. Mówią o tym na ucho zarówno sędziowie, jak i obrońcy.

Gwałt zredefiniowany

Mimo procesowej przewagi zgwałconych, rewolucyjne zmiany sprzed dekady z gwałtami sobie nie poradziły. W związku z tym, gdy nastała władza popisowska, przyszła pora na kolejny przełom.

Według opracowanych przez aktywistów szacunków, w Polsce zgłaszany jest tylko co piąty gwałt, a tylko jedno na cztery postępowania kończy się potwierdzeniem przestępstwa. Działacze twierdzą, że jest tak dlatego, że ofiary muszą udowodnić, że do czynności seksualnej doszło pod wpływem przemocy i że stawiały opór wystarczająco mocno, aby np. przyciągnąć uwagę świadków lub pozostawić ślady na ciele sprawcy. Nie ściga się zatem zgwałcenia, jeśli ofiara nie stawiała oporu, np. ze strachu przed eskalacją agresji lub zdając sobie sprawę z przeważającej siły sprawcy. Opracowanie zawiera też tezę, że w sądach i prokuraturze domniemywa się automatyczną zgodę na obcowanie płciowe.

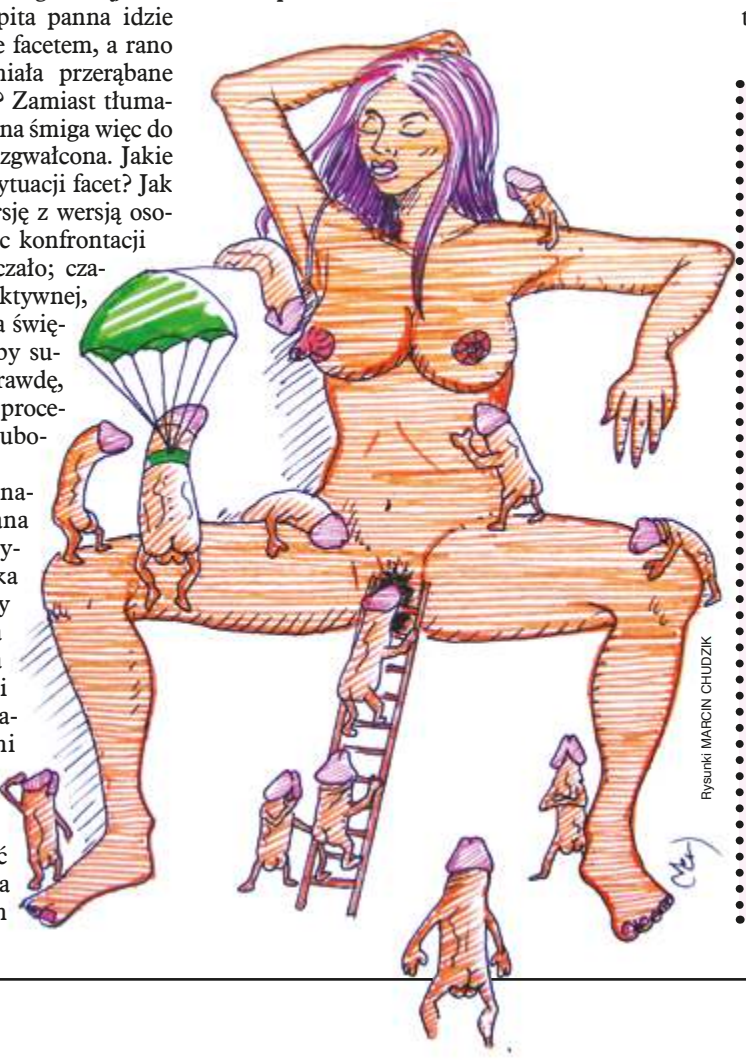

Rysunki MARCIN CHUDZIK

Aktywiści podkreślają zatem, że wedle art. 36 Konwencji Stambulskiej definicja gwałtu powinna opierać się na braku dobrowolnej zgody osoby pokrzywdzonej na jakąkolwiek czynność seksualną. Dlatego też po przystąpieniu UE do tej Konwencji wiele krajów zaczęło pracować nad zmianą definicji zgwałcenia, tak aby była oparta na elemencie zgody: albo „tak znaczy tak”, albo „nie znaczy nie”. Jest już 16 krajów europejskich, w których definicja gwałtu została zmieniona właśnie w ten sposób – w tym Malta, Chorwacja, Cypr, Grecja, Hiszpania, Słowenia, Dania, Łotwa, Luksemburg, Belgia Niemcy i Szwecja.

Wniosek był prosty – zmienić kodeksową definicję gwałtu.

Za gwałt uznawane więc będzie doprowadzenie do obcowania płciowego bez wcześniejszego wyrażenia świadomej i dobrowolnej zgody. Prawnicy padli ze śmiechu, bo jak niby taka zgoda ma wyglądać.

Samo „tak” wypowiedziane jedynie ustnie, można przecież zakwestionować. Gwałcicielem może więc zostać każdy i to nawet po latach spędzonych w błogim przeświadczeniu miłego dla obu stron seksu. Wystarczy, że ktoś znielubi kogoś, z kim niegdyś był w relacji uczuciowo-seksualnej. Pójdzie z tym do prokuratury, nagra zeznanie i pogrąży „gwałciciela”. Na dodatek nowelizacja ma też zmienić klasyfikację zgwałcenia z występku na zbrodnię. „Zbrodniczy” gwałciciel nie mógłby więc dostać wyroku niższego niż trzy lata. Jak sądy miałyby w takiej sytuacji ważyć racje facetów pomówionych przez skłócone z nimi kobiety?

Prawnicy mają na to sposób.

Przed każdym pójściem z kimś do łóżka musi powstać dokument „wyrażający w sposób niebudzący wątpliwości co do woli osoby podejmującej obcowanie płciowe”. Oczywiście z własnoręcznym podpisem. Strony takiej relacji seksualnej muszą takie kwity mieć przy sobie, podpisać, wymienić się nimi i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku obywatelskiego rozpocząć miłosne karesy. O ile oczywiście któreś nich będzie po tej biurokracji miało na to ochotę.

TADEUSZ JASIŃSKI

Jest obszar seksualny, w którym PiS przez osiem lat jakoś nie przykręciło śruby.

Jeszcze kilkanaście lat temu niemiecki miłośnik bliskich i głębokich związków z żywymi futrzakami, mógł w każdej chwili wskoczyć w samochód i skorzystać z agroturystycznych mini ogrodów zoologicznych. A tam za drobne 75 lub 100 euro kochać się do upadłego z owcą, kozą, psem, czy kucykiem.

Sinusoida zezwierzęcenia

W tym czasie liczbę aktywnych zoofili w Niemczech szacowano na 10 tysięcy osób. Niemiecki pęd do zwierząt mógł być realizowany od 1969 r. Wtedy bowiem zniesiono tam zakaz kontaktów seksualnych homosapiensów z innymi gatunkami. Jeszcze wcześniej, bo w 1944 r. do takiej liberalizacji doszło w Szwecji. Korzystanie z seksualnych uroków zwierzaków w Norwegii czy Danii nie niosło ze sobą żadnej sankcji prawnej. Gdy natomiast ktoś zakochał się w owieczce czy kurce na terenie Zjednoczonego Królestwa, Kanady, Nowej Zelandii, Australii lub w większości stanów USA – i uczucie to konsumował – to szedł za kraty.

Jednak niezależnie od tego, czy miłość fizyczna człowieka ze zwierzęciem była dozwolona, czy karana, wszędzie (z wyjątkiem Danii) obowiązywał zakaz uwieczniania takiej kopulacji na zdjęciach lub filmach.

Dobre czasy dla fanów zwierzaków skończyły się w rajach zoofilskich jakąś dekadę temu. Seks ze zwierzętami został ustawowo zakazany w Niemczech w 2013 r. Grozi za to grzywna do 25 tys. euro.

W Danii spółkowanie ze zwierzakami było legalne do kwietnia 2015 roku. Zoofilię zaczęto tam karać, bo władze uznały, iż „wpływa niszcząco na wizerunek kraju”. Teraz za seks z futrzakiem można tam dostać rok więzienia w przypadku pierwszego wyroku i dwa lata za recydywę.

Zakaz zoofilii wprowadziła też w 2011 r. Norwegia, a w 2013 r. Szwecja, gdzie parlament kazał przygotować specjalny raport na jej temat, z którego wynikało, że szerzy się ona w leżących z dala od miast gospodarstwach rolnych.

Tymczasem w Polsce, po latach rządów ugrupowania włażącego w butach do łóżek Polek i Polaków, sekszenie ze zwierzątkami jest na-

Rys. JANUARY

Numerki po polsku

Przeciw wykluczeniu orgazmicznemu

W czasach, gdy miłościwie panuje nam koalicja rządowa spod znaku śnieżnobiałego uśmiechu i biało-czerwonych serduszek, wszystko musi być albo polskie, albo – co jeszcze bardziej prawilne – narodowe. Nie może zatem być inaczej w przypadku badań nad ruchaniem i tasowaniem się, czego dowodem świeży „Narodowy Raport Seksualności” (NRS), stworzony przez EasyToys. Firma ta oferuje erotyczne gadżety. Innymi słowy, handlarze wibrującymi jajkami sterowanymi aplikacją czy zaciskami na sutki poczuli wszechogarniającą za obecnego Tuska politykę miłości i zbadali, co tam w trawie, a może raczej w majtkach, piszczy.

Z ciekawością przeczytałam najnowsze doniesienia, z których próbowałam dowiedzieć się – jak mawiała moja koleżanka – czy w pszenno-buraczanym (czy też wielkomiejsko-kawiarnianym) życiu seksualnym Polaków jest chujowo, czyli potencjalnie przyjemnie. Doskonale pamiętałam pogłębione raporty prof. Zbigniewa Izdebskiego ubolewającego nad niskim poziomem wiedzy Polaków o seksualności, brakiem edukacji, nieumiejętnością komunikowania swoich potrzeb i granic, a jednocześnie zadowoleniu z seksu wynikającym z małych oczekiwań. Czyli Kościół katolicki wychował społeczeństwo, które wiele od życia na tym padole łez i rozpaczy nie oczekuje, bo liczy na życie wieczne.

Swojskie ruchanie

„Ty, Kaźmirz, czep się lepiej swojej baby!” – grzmiał Kargul do Pawlaka w komedii „Sami swoi”. NRS potwierdza, że chłopski rozum

eprasa.pl f5a368e4e4

Pisowscy miłośnicy miłośników zwierząt

Rys. TOMASZ WIATER

dal legalne. Kwestię zoofili reguluje nawet nie kodeks karny, ale ustawa o ochronie zwierząt. To w niej widnieje zapis, że za znęcanie się nad zwierzętami grozi kara pozbawienia wolności do trzech lat, a za czyny charakteryzujące się szczególnym okrucieństwem do pięciu lat.

Oczywiście zoofilia istnieje od czasu, gdy pojawił się człowiek. Rysunki naskalne przedstawiające penetrację ośliczki przez pana, czy pani przez pieska, są jednymi z pierwszych dzieł malarskich wykonanych dłonią człowieka. Wszystkie mitologie pełne są opisów seksu ludzko-zwierzęcego. Ba, korzystanie z wdzięków kóz, owiec i krów wśród ludów pasterskich jest taką samą normą jak sikanie. Seks ze zwierzętami miał i ma tę wielką zaletę, że potrafi zaspokoić potrzeby seksualne, a nie groził zapłodnieniem. Ten fakt szczególnie doceniany był w bliskowschodnich haremach. Trzymano tam odpowiednio szkolone psy i małpy. Władca nie musiał obawiać się, że odseparowane od seksu kobiety będą go szukały wbrew zakazom, a przy okazji miał pewność, że wszystkie dzieci są naprawdę jego. Daleki Wschód też nie ustępował w tej kwestii innym regionom świata, a nawet je przewyższał. Zwłaszcza w stosunku do kobiet. To dlatego pekińczyka krzyżowano dotąd, aż jego język idealnie nadawał się do tego, do czego używały go najbogatsze Chinki. I to z tego powodu chow-chow ma penisa o gabarytach dorosłego mieszkańca Państwa Środka.

Między delfinicą i nosorożcem

Kilkanaście lat temu amerykańska badaczka Hani Miletski przebadała około setki zadeklarowanych zoofilów płci obojga. Wyszło jej, że zwierzęciem, z którym kopulowano najczęściej, jest pies płci męskiej. Przynajmniej raz w życiu zabawiało się z nim 90 proc. badanych mężczyzn i wszystkie kobiety. Z sukami robiło to 72 proc. mężczyzn. Na kolejnym miejscu rankingu najbardziej seksownych zwierząt ulokowały się: ogier i klacz (powyżej 50 proc.), krowa, owca, kotka, byk, kocur, świnia i koza (od 40 do 13 proc.). Przy końcu rankingu znalazły się: knur, cap, baran i żeński drób, które poznał w sensie biblijnym co dziesiąty ankietowany. Stawkę zamyka drób płci męskiej z wynikiem 2 proc. U kobiet, z kolei, po psach najbardziej popularne były suki (73 proc.), ogiery (55 proc.) i kocury (27 proc.). Z ciekawszych pojedynczych odpowiedzi wyróżnić można delfina płci żeńskiej, króliczyce, wilki płci obydwu, lwice, tygrysice oraz samca nosorożca, którego pracownik jednego z ogrodów zoologicznych stymulował oralnie. Badania objęły głównie osoby zamieszkujące amerykańskie wsie. Miastowi mieliby wszak problemy z dostępnością większości wymienionych tu stworzeń.

Z badań wyszło, że statystyczny zoofil nie jest przykładem monogamii. Średnio ma dziesiątki partnerów, a rekordzista dobił do imponującej liczby 4 892. Człowiek ten zatrudnił się w klinice weterynaryjnej i nie musiał się martwić o podaż kandydatów do kopulacji. Badania Miletski pokazały też, że średni wiek pierwszego kontaktu seksualnego ze zwierzęciem wynosił 13 lat dla mężczyzn i 20 dla kobiet. Większość badanych swój pierwszy raz zaliczyło nie z własnym zwierzęciem, ale z takim, które należało do sąsiadów lub kogoś z rodziny.

Znamienne, że większość miłośników futrzaków chce sprawić przyjemność swojemu zwierzęcemu partnerowi. Dlatego 75 proc. mężczyzn stymuluje go lub ją oralnie, a nieco ponad połowa oddaje im do penetracji swój anus.

Rys. TOMASZ WIATER

Tolerancyjni psychopaci

Z badań wychodzi też, że zoofil to człowiek tolerancyjny i otwarty na doświadczenia seksualne. Aż 75 proc. z nich miało w życiu przynajmniej jeden kontakt homoseksualny, a 30 proc. uczestniczyło w seksie grupowym. Mimo to 75 proc. badanych obu płci określiło się jako osoby stricte heteroseksualne. A do tego aktywne: średnia ilość partnerów heteroseksualnych wynosiła 50, a homoseksualnych tylko 8. Interesująca może być też kwestia wierności. Na pytanie, czy ankietowany pozwoliłby innemu człowiekowi na seks ze swoim zwierzęciem, 90 proc. mężczyzn i 70 proc. kobiet odpowiedziało twierdząco.

Nasi nadwiślańscy amatorzy futrzaków nigdy nie zostali tak dokładnie przebadani. Polscy seksuolodzy twierdzą, że jest ich tak niewielu, że nie są dla statystyk zauważalni. Ale oczywiście są.

U polskiego zoofila najczęściej do kontaktów seksualnych ze zwierzętami dochodzi na skutek eksperymentów z własną seksualnością. Wtedy, kiedy zaczyna się realizować kolejne, coraz bardziej wyrafinowane fantazje. Dotyczy to i kobiet, i mężczyzn. Drugim powodem jest ciekawość. Zarówno co do swoich odczuć i zachowań, jak i odczuć i zachowań tego niekonwencjonalnego partnera seksualnego. Trzeci powód, to chęć sprawdzenia, jak to, co się widziało na zdjęciach lub filmach pornograficznych, wygląda naprawdę.

Obserwacje polskich seksuologów potwierdzają badania Miletski. Respondentów badaczki w objęcia czworonogów pchały: ciekawość; chęć okazania miłości wobec zwierzęcia; głęboka wiara, że może się ufać tylko zwierzętom; przeświadczenie, że zwierzę tego chciało; brak ludzi, z którymi można by współżyć; informacja, że inni tak robią; przeglądanie pornografii.

Jeszcze ciekawsze wnioski wysnuła z własnych badań dr Andrea Beetz z Uniwersytetu w Erlangen w Niemczech. Wyszło jej, że większość zoofili była aktywnymi działaczami na rzecz praw zwierząt. Mają też większe trudności interpersonalne, są bardziej nieśmiali i mniej towarzyscy niż przeciętni ludzie. Mają jednak w zamian przewagę na innym polu – wykazują mniej skłonności psychopatycznych, są bardziej wrażliwi na potrzeby innych ludzi, przejawiają więcej empatii, a także mają lepiej rozwiniętą znajomość języka ciała.

Dzisiejsza seksuologia uznaje, że jeśli seks sprawia przyjemność obojgu partnerom, wtedy relacja jest zdrowa. A zatem gdy pies sam zainicjuje zbliżenie płciowe, a przynajmniej nie będzie mu niechętny, trzeba by uznać, że wszystko jest tak, jak być powinno. A gdy ktoś chciałby zwierzakowi zrobić wbrew, to musi się liczyć z tym, że pies gryzie, koń kopie, a owca przynajmniej próbuje uciekać. Do przeciwników relacji ludzko-zwierzęcych to nie przemawiało.

Ogłupianie przez aportowanie

Postawa taka jest o tyle ciekawa, że nie mają nic przeciwko łamaniu woli konia w trakcie ujeżdżania i każąc mu nosić swój ciężar. Ogłupianiu psów, by biegały za rzuconym patykiem, i na codziennym zmuszaniu ich do krańcowego posłuszeństwa, np. ciągając je na smyczy i zapinając kaganiec. Obrońców nie rusza też ingerencja w seksualność zwierząt. Pan knur nie spotyka się już z panią świnką – maciory są sztucznie zapładnianie, co pewnie jest dla nich dużo większym stresem niż uświęcona przez naturę kopulacja. Kastrujemy nasze psy i koty, a jeśli nawet nie, to niczym najgorsi tyrani porcjujemy im dostęp do kontaktów seksualnych, które byłyby przecież powszechne w naturalnym środowisku. Czy w tym kontekście, seks ze zwierzakiem jest aż tak zły? W cywilizowanych krajach uznano, że jak najbardziej.

Weterynarze uważają, że jeśli nie dochodzi do przemocy i bólu zwierzęcia spowodowanego dysproporcjami anatomicznymi, czy związanego z brutalnym i bolesnym dla czworonoga skrępowaniem, to taka kózka, owieczka, czy krówka odczuwają jedynie – i aż – dyskomfort. Nie ma natomiast mowy o jakiejkolwiek satysfakcji. Dla zwierzęcia akt seksualny z człowiekiem jest jeszcze jedną niezrozumiałą dla niego formą zniewolenia.

Zwierzę ulega człowiekowi z trzech powodów: ze strachu, z powodu braku możliwości ruchu lub z chęci sprawienia swojemu panu zadowolenia.

Praktyczni miłośnicy zwierząt tego nie czują. Za to na swoich forach dają wiele przykładów, jak dbać o zdrowie przy kontakcie z pupilem. Zalecają stosowanie prezerwatyw, a nade wszystko szczepienia zwierzaków. To ich zdaniem absolutnie wystarczy. I mają dużo racji, bo nie istnieją choroby odzwierzęce przenoszone wyłącznie drogą płciową. Choć oczywiście istnieje cała grupa schorzeń odzwierzęcych, jak choćby bruceloza, które człowiek może złapać, ale może do tego dojść również w każdej innej formie kontaktu z zarażonym zwierzęciem. Jednak bariera międzygatunkowa skutecznie chroni nas przed zdecydowaną większością problemów zdrowotnych zwierzaków. Z medycznego punktu widzenia uprawianie zoofilii nie niesie ze sobą jakiegoś szczególnego zagrożenia tak dla zdrowia człowieka, jak i zwierzęcia. Może z wyjątkiem takiej gałęzi medycyny jaką jest psychiatria. Z perspektywy psychiatry nie sposób mówić tu o jakiejkolwiek normie.

Jak to się więc stało, że nawet przy okazji „piątki dla zwierząt" PiS nie napomknęło o penalizacji seksu ludzko-zwierzęcego? Pójście wspak ustawodawstwu niemieckiemu i innego europejskiego lewactwa, wszystkiego nie tłumaczy. Kot prezesa również. A nawet i to, że kary za zoofilię uderzyłyby w wiejski elektorat partii Kaczyńskiego.

TOMASZ BOROWIECKI

przewyższa wymądrzanie się miastowych wykształciuchów: ponad dwie trzecie osób, które są w wieloletnim związku, określa swoje życie seksualne jako udane. I to klechy powinny mówić na naukach przedmałżeńskich, a nie pierdolić o kalendarzyku i obserwacji wydzielania się śluzu z pochwy. Bo ogółem wśród badanych zadowolenie z seksu deklaruje grubo poniżej połowy ankietowanych. Przy tym trzy czwarte z nich wybiera monogamię – kobiety nieco częściej od mężczyzn.

Dobre życie seksualne jest ważne dla 52 proc. respondentów. 28 proc. ludzi badanych marzy się częstsze bzykanie, przy czym statystycznie, w skali od 1 do 10, sami oceniamy naszą sprawność w sypialni na 7 (choć wolelibyśmy 8), a partnera/partnerki na 8. Czyli życzliwi, uśmiechnięci Polak i Polka oceniają innych tak, jak sami chcieliby być oceniani.

Tu pojawia się znana ze statystyki prawidłowość – liczy się centrum, zwykle skrajności są na marginesie. Dokładnie po 5 proc. osób zadeklarowało, że seks uprawia codziennie i seksu nie uprawia prawie nigdy. Po kilka procent uprawia seks raz w miesiącu, raz na kilka miesięcy lub rzadziej. 15 proc., częściej niż raz w miesiącu, a najwięcej – 36 proc. – bzyka częściej niż raz na tydzień. Najlepiej mają osoby w wieku 35–49 lat, bo ruchają się stosunkowo najczęściej.

Znaczące, że grzech, jak mawiano kiedyś, samogwałtu, nie tylko jest częściej lub rzadziej popełniany przez większość Polaków, lecz nie jest nawet powodem do wstydu: 65 proc. tasujących się mówi o tym swoim partnerom. 4 proc. mężczyzn w wieku 18–34 lat masturbuje się w pracy, co będę mieć na uwadze, obserwując w knajpie, czy do piwa lub jedzenia jakiś gówniarz nie dorzuci mi czegoś od siebie… I średnio mnie przekonuje fragment NRS: „No cóż, angażowanie się w aktywności seksualne podczas godzin pracy nie jest zupełnie odpowiednie, ale jest ekscytujące. A być może dla niektórych pracowników jest to bardzo miły sposób na zrelaksowanie się!".

Rys. JANUARY

Akcja penetracja

Co ciekawe, po gadżety erotyczne sięgają nieco częściej kobiety, które mają w tym więcej fantazji. „Wśród kobiet wibrator do stymulacji zewnętrznej jest zdecydowanie najbardziej popularny. Do tej kategorii należą zabawki takie jak wibratory (bezdotykowe). Te zabawki potrafią robić rzeczy, których ręce nigdy by nie zrobiły, takie jak wibracje lub wydzielanie fal ciśnienia powietrza. Zabawka nigdy nie zastąpi partnera, ale może stanowić orzeźwiający, unikalny dodatek" – naucza NRS.

Znaczące, że ponad trzy czwarte – jakby powiedzieli w Partii Razem – osób z penisami preferuje penetrację, która jest najmilsza dla nieco ponad połowy osób z macicami. Aż 40 proc. lasek deklaruje, że szczytowaniu sprzyja stymulacja łechtaczki.

Kiedy dużo się mówi o nierównościach między płciami, w tym o luce płacowej (zwykle kilkanaście procent), raport ujawnia jeszcze drastyczniejszą lukę, którą zdecydowanie powinny się zająć bojowe feministki. Jest to mianowicie luka orgazmu: aż 80 proc. facetów osiąga orgazm w przypadku czterech na pięć numerków, kobiety szczytują natomiast zaledwie co drugi raz.

Rażące wykluczenie społecznie dotyka 2 proc. kobiet, które nigdy nie zaznają orgazmu. Jest to tym boleśniejsze, że 43 proc. pań uważa, że jest on niezbędny, by osiągnąć satysfakcję seksualną.

Czyli jest duże pole dla działań emancypacyjnych!

ZUZ

eprasa.pl f5a368e4e4

WIEŚCI GMINNE i INNE

23 kwietnia odebrałem maila treści: „Drogi podatniku, pragniemy poinformować, że Ministerstwo Finansów nadesłało odpowiedź w sprawie Twojego rozliczenia PIT". Z dalszych akapitów wynikało, że moje zeznanie podatkowe za rok ubiegły zostało przyjęte przez ministra finansów i zapewne osobiście odczytane. Dysonans poznawczy eksplodował tydzień później. 30 kwietnia otrzymałem z ministerstwa zwrot nadpłaty podatku. Moja 40-letnia empiria została zdruzgotana. Jeżeli jest to prawda, która dotyczy choćby 20 proc. podatników, że na zwrot podatku czeka się teraz w Polsce siedem dni, to warto o niej w gazecie napisać.

Policjanci z drogówki w Strzelcach Opolskich opublikowali w mediach społecznościowych zdjęcie swoich radosnych obliczy po zakończeniu akcji „Trzeźwy poranek". Wszyscy byli w tych swoich białych czapkach, więc ktoś nazwał ich pieczarkami. Nie zgodziła się z tą opinią internautka z Opoczna, stwierdzając (nie wiem, jak to napisać, żeby nie spotkało mnie to, co spotkało ją), że matki gliniarzy trudniły się nierządem. Policjanci pozwali, a sąd skazał 31-letnią kobietę za obrazę władzy. Kobieta ma zapłacić grzywnę po 500 zł od twarzy, a twarzy było 10, więc łącznie pięć kawałków, koszty sądowe i jeszcze przeprosić. Policjantów nie należy obrażać, ale z innej strony znane nam są wyroki w podobnych sprawach, w których sądy były wyrozumialsze dla oskarżonych i słusznie.

Nie padła nawet jedna białoruska salwa, a już dziewięciu żołnierzy patrolujących tamtejszą granicę znalazło się w szpitalu. Rzecznik prasowy Żandarmerii Wojskowej w Lublinie Iwo Sawa wyjawił, że ciężarówka przewożąca dwie drużyny zabłądziła i przez to wjechała do rowu. Trzeba by wojskowym GPS-y kupić, bo nie od dziś wiadomo, że ich jelcze fabrycznie zainfekowane są endemicznym kretynizmem i trzeba na nie uważać.

Rys. WIDGET

Sztab Generalny Wojska Polskiego poinformował, że polskie amerykańskie myśliwce F-35 (350 mln zł sztuka) będą nazywały się Husarze. Zaskoczenia raczej nie ma.

Nowy prezes PKP Polskich Linii Kolejowych wyjaśnił, że według sprawozdania finansowego za rok 2023, pod rządami starego, poprzedniego prezesa, spółka wykazała stratę, jakiej jeszcze nie było. Chodzi o 937 mln zł. Od razu wyjaśnijmy, że w sensie społecznym to nie była taka strata jak w przypadku tej w Szwajcarii. Zwyczajnie wydatki firmy były większe od jej przychodów o taką właśnie kwotę. To oznacza, że ktoś te pieniądze zarobił. Audyt wykazał, że kolejarze zwlekali z płaceniem budowlańcom za robotę przy kładzeniu torów w poprzednich latach. Ale to nie koniec. Zaległości wynoszą nadal 7 mld zł.

W minionym roku za dyskryminujące zachowanie wobec pieszych (nieustąpienie pierwszeństwa, nieprzepuszczenie na pasach itd.) policja wystawiła rowerzystom 15 306 mandatów. To nie wszystko. Za łamanie pozostałych przepisów kierowcy jednośladów dostali 72 322 mandaty. Łącznie było to więc 87 628 mandatów. Takie jest prawdziwe oblicze tej proekologicznej społeczności, której nakrycia głowy wyglądają, jakby pochodziły z dolnej części przewodu pokarmowego.

Uchodźca z nękanej konfliktem zbrojnym Ukrainy kierował czarnym nissanem na niemieckich numerach rejestracyjnych, ciągnąc wódkę z gwinta, na tarnowskim odcinku autostrady prowadzącej do Krakowa. Zatrzymany do badania alkomatem wykazał 2,6 prom. we krwi. Wobec ludzi przeżywających gehennę kodeks drogowy powinien być bardziej wyrozumiały – utrzymują funkcjonariusze Komendy Powiatowej Policji w Brzesku.

Zwłaszcza że w 2018 r. sędzia suwalskiego sądu okręgowego Waldemar M., przewodniczący tamtejszego wydziału karnego, spowodował kolizję i uciekł. Zatrzymany w Augustowie półtorej godziny później miał nadal 2 promile alkoholu. Sąd w Ostródzie skazał pijaka na 20 tys. zł grzywny, sześcioletni zakaz szoferowania i 10 tys. zł nawiązki. Uznając wyrok za zbyt łagodny, apelację złożył prokurator krajowy. Procedował ją sąd w Elblągu, który umorzył postępowanie, a kosztami obciążył skarb państwa. Oszaleć można od tej niezawisłości wymiaru sprawiedliwości.

„Specjaliści do spraw cudzoziemców z Morskiego Oddziału Straży Granicznej obserwują w ostatnim czasie na swoim terenie wzrastający napływ na polski rynek pracy cudzoziemców pochodzących z Ameryki Łacińskiej i Południowej" – rzekł był Tadeusz Gruchalla, który do tych specjalistów się zalicza. Gruchalla wykrył z kolegami 20 Kolumbijczyków pracujących w miejscowej przetwórni ryb. Przypuszczalnie chodzi o to, że Gruchalla wraz z kolegami chętnie podejmą się tej lukratywnej roboty. Cudzoziemcy stanowili dla nich nieuczciwą konkurencję. Życzymy pogranicznikom spełnienia marzeń.

RJ

PS Wieści pochodzą, jak zwykle, z prasy regionalnej. Wiejskiej, miejskiej i nijakiej. Sami niekiedy im niedowierzamy, więc trudno abyśmy mogli wymagać takowej wiary od Czytelników. W każdym razie, jeżeli chodzi o odpowiedzialność prawną, co to, to my nie!

Dopaleni matką naturą

Hipokryzja rządzących szkodzi zdrowiu obywateli.

Dorośli Niemcy od 1 kwietnia mogą mieć przy sobie 25 g marihuany. Zazieleniły się też niemieckie okna. Każdemu dorosłemu domownikowi za Odrą wolno wszak hodować w mieszkaniu trzy krzaki konopi indyjskich. Niemcy nie byliby jednak sobą, gdyby nie wymyślili jakiegoś idiotyzmu. Tym razem jest to absolutnie nieweryfikowalny zapis o tym, że jak ktoś ma ponad 21 lat, to wolno mu w miesiącu kupić 50 g marihuany. Jeśli zaś liczy sobie od 18 do 21 wiosen – to tylko 30 g. Jak to będą egzekwować, zostaje wonną tajemnicą niemieckiej policji.

Na południe od nas też jest zielono. Parę lat temu Czechy na tyle zdepenalizowały posiadanie trawy, że jest tam ona de facto legalna.

Nasza Koalicja Miłości kwestii najczęstszego powodu nękania Polek i Polaków przez policję nie dostrzega. „Byłbym bardzo ostrożny z takimi regulacjami, które wprowadzili Niemcy" – mówi mediom minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński i ze swojego punktu widzenia ma rację.

Dziś zatrzymaniami tysięcy osób za posiadanie skręta policjanci mogą pompować statystyki wykrywalności narkotykowej. Będą zatem ścigać trawkę, zamiast zająć się fentanylem, który płynie do nas po tym, jak uzależnił już ćwierć Ameryki i w cholerę osób na zachodzie Europy.

Najciekawsze jednak, że – według sondażu, na który powołuje się Stowarzyszenie Wolne Konopie – niekarania za maryśkę chciałoby w Polsce 73 proc. populacji. Więcej niż liberalnego przerywania ciąży.

W sejmie legalizacji trawy chciałaby tylko Konfederacja i Razem. Pierwsza nie ma nic do gadania, a ludzie z Razem są w koalicji, ale władzą „się nie zaciągają". Polakom zostaje więc to, co do tej pory: wyjść z domu na spacer i w okolicznościach przyrody zbierać wszystko, co jest w stanie człowieka sponiewierać, a czego posiadania policja zabronić nie może.

Pamiętajcie o ogrodach

Nie trzeba iść daleko. Na klombach i w ogródkach rośnie roślina ozdobna o nazwie barwinek różowy. Należy tylko urwać nieco liści tego wiecznie zielonego krzewu. Zawarta w nich wikamina podnosi możliwości umysłowe przy schorzeniach mózgowo-naczyniowych. Powoduje euforię i halucynacje. Przy okazji jednak wywołuje natychmiastową redukcję ilości białych krwinek. Niestety, przy nadmiernym lub długim zażywaniu barwinek powoduje swędzenie i pieczenie skóry, utratę włosów, ataksję i degenerację tkanki mięśniowej.

Jeszcze częściej niż barwinka służby od zazieleniania przestrzeni publicznej sieją bieluń drzewiaste, czyli datury. Występują w wielu ogrodach, parkach, a nade wszystko w wielkich donicach przed wieloma urzędami. Gatunków jest mnóstwo: bieluń biały, bieluń powabny, bieluń krwisty, bieluń drzewiasty, czy bieluń złoty. Żeby pozyskać coś stymulującego, można skorzystać z różnych części rośliny o zwisających aromatycznych kwiatach w kształcie trąb. Najmocniejsze są jednak nasiona. Wywołują zagubienie, delirium, a następnie nierówny sen z kolorowymi halucynacjami. Nadmierne ilości mogą wywołać efekty amnezyjne.

Pospolitym krzewem ogrodowym jest również hortensja bukietowa. Trzeba tylko zerwać trochę jej liści. Potem je ususzyć i już ma się rozweselające palenie. Hortensja wywołuje łagodny, marihuanopodobny odlot. Znawcy przestrzegają jednak, że nie można przekraczać jednego papierosa. Za duża dawka może wytworzyć więcej cyjanku, niż organizm jest w stanie zmetabolizować. A to kończy się zgonem. Tym prawdziwym.

Janowiec to pospolicie występujący w ogrodach i parkach krzew, którego używa się często do wzmacniania wydm. Powszechnie porasta też nieużytki. Miłośnika botaniki psychoaktywnej winny zainteresować w nim suszone płatki kwiatów. Jeden papieros wywołuje uczucie relaksu przez dwie godziny. Większa ilość wywołuje efekty trwające nawet 4–5 godzin. Najsilniejszego kopa ma się w ciągu dwóch pierwszych godzin, po nim następuje wzmożona czujność oraz wyostrzenie kolorów. Ale bez halucynacji. Zazwyczaj po takim paleniu nie ma się efektów niepożądanych czy kaca. Niektóre osoby może tylko lekko pobolewać głowa. Trzeba przy tym pamiętać, że kwiaty janowca są ekstremalnie toksyczne przy zjedzeniu. Roślina posiada bowiem właściwości nader rozpędzające serce.

Zakrętki na smyczy

Unijny prezent dla eurosceptyków.

„Nasza cywilizacja wali się w gruzy, a Unii Europejskiej bzdety w głowie" – rzekł mój znajomy, odkręcając butelkę coli. „Za miedzą szaleje wojna, Hamas napada na Izrael, talibowie w Afganistanie, w Argentynie rządzi jakiś pajac, kolejny – zaraz przejmie USA, a Unia myśli o zakrętkach do butelek" – perorował.

Tak, nadeszły takie czasy, że z gwinta już się normalnie nie napijesz, bo zakrętka wpadnie ci między zęby albo zatka nozdrza. Do szklanki już normalnie nie nalejesz, bo lejąc po zakrętce, nalejesz wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba. Otwartej butelki już nie zakręcisz, bo raz odkręcona zakrętka przestaje pasować do gwintu na butelce. A jeśli urwiesz zakrętkę, to się pokaleczysz w paluchy. Za to przyczynisz się do ratowania planety, bo do środowiska trafi mniej śmieci w postaci zakrętek. Tak, tych zakrętek, które od niedawna są przymocowane do plastikowych opakowań i zdążyły już podzielić ludzkość. Przynajmniej tę jej część, która zasiedla Unię Europejską.

Kiedy plastikowe zakrętki mocowane do butelek pojawiły się przed ponad rokiem na wyrobach koncernu Coca-Cola, myślano, że to jakaś nowa fanaberia jednego producenta. Szybko okazało się, że to nie inicjatywa jednej firmy, tylko efekt unijnej dyrektywy SUP (Single Use Plastic) dotyczącej używania i przetwarzania jednorazowych opakowań plastikowych. Wkrótce mocowane do butelek zakrętki pojawiły się na wyrobach innych producentów, a media zaczęły się ścigać na wyjaśnianie źródeł takiego pomysłu i roztaczanie wizji świetlanej ekoprzyszłości w związku z polepszeniem wydajności recyklingu opakowań plastikowych. Im bardziej jednak zakrętki były mocowane do butelek, tym więcej ludzi wyrażało z powodu tego zjawiska niezadowolenie aż po dziki wkurw. Szczególnie że wieść unijna niesie, że już za parę tygodni nie będzie można inaczej: od 1 lipca 2024 r. każde plastikowe opakowanie o pojemności poniżej trzech litrów wprowadzone do sprzedaży na terenie Unii Europejskiej będzie musiało mieć przymocowaną doń nakrętkę.

Internetowy mem

Fajnie. Rozumiemy, że wprowadzenie powyżej opisanego wymogu jest podyktowane względami ekologicznymi, które to względy mają w Europie pewną grupę zagorzałych i bezkrytycznych wielbicieli. W ich mniemaniu takie pomysły zbawią naszą planetę i już wkrótce wszyscy będziemy się pławić w powszechnej ekoszczęśliwości, obcować z nieskażoną naturą, wylegując się pod zielonym drzewem na trawie pełnej krwiożerczych kleszczy, z lekka odganiając się od upierdliwych komarów i much oraz przysłuchując się świergolącym ptaszyskom srającym nam z drzewa na głowę.

Problem w tym, że druga część unijnej ludzkości nie przyjmuje takich pomysłów z równym entuzjazmem. A nawet wprost przeciwnie: traktuje je jak czystą głupotę lub jak drobne, ale dotkliwe szykany ze strony unijnych gryzipiórów. Do tego stopnia, że pomysł zyskał już status internetowego mema.

Szybka sonda wśród kilkunastu znajomych prowadzi mnie do wniosku, że entuzjaści inkryminowanego rozwiązania są w mniejszości. „To jest działanie proekologiczne" – usłyszałam tylko od jednego znajomego. Kolejny głos można było uznać za obojętny: „a co to komu przeszkadza?". Pozostałe były negatywne i wyrażały się stwierdzeniami typu: „komuś nieźle dogrzało", „wkurwiające bardziej niż reklamy Lidla", „niech sobie w tej Brukseli czapki do głów przymocują, żeby takie głupoty na świat nie wylatywały".

Ekologia made by UE

Ma być tak: przymocowana do butelki zakrętka będzie trafiać do recyklingu razem z butelką, dzięki czemu ma się zmniejszyć ilość nierecyklingowanych odpadów plastikowych, których zakrętki – podobno – stanowią istotną część. Wydaje się jednak, że to tylko pobożne życzenie autorów tego przepisu (dyrektywę SUP firmują Parlament Europejski i Rada Unii Europejskiej). I wygląda na to, że w życiu nie wyjdzie tak, jak by chciały unijne urzędasy. Przede wszystkim dlatego, że pomysł opiera się jedynie na domniemaniu, a nie na racjonalnych przesłankach. Mało które media o tym pisały, najczęściej tylko zachwycając się proekologicznością tego pomysłu, ale ponoć, jak donosiła w lutym Interia, UE nie przedstawiła żadnej analizy, z której wynikałoby, że rozwiązanie to przyniesie jakiekolwiek korzyści ekologiczne. Można z tego wnioskować, że to po prostu pomysł, który ktoś rzucił, a inni podchwycili jako mający pozory ekologiczności, więc go wprowadzono.

Tymczasem – o czym również donosiła Interia – organizacja Unesda zrzeszająca producentów napojów już w 2018 r. (dyrektywa SUP pochodzi z 2019 r.) przedstawiła raport, z którego wynika, że

obowiązek mocowania zakrętek może się wiązać ze zwiększeniem produkcji plastiku o 50–200 tys. ton rocznie, a zatem także ze zwiększoną emisją dwutlenku węgla do atmosfery.

A więc po to, żeby więcej plastiku zostało poddane recyklingowi, musimy wyprodukować więcej plastiku.

eprasa.pl f5a368e4e4

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy na rabatce lub w ogródku natkniemy się na passiflorę, czyli męczennicę cielistą, należy obciąć jej liście i łodygi i je ususzyć. To o tyle istotne, że surowy ekstrakt z tej rośliny wywołuje jedynie nudności. Przy paleniu męczennica daje łagodnego krótkotrwałego kopa. Herbata z passiflory działa zaś nasennie i uspokajająco.

Dość często w ogrodach spotkać można walerianę zwaną inaczej kozłkiem lekarskim. Jej korzenie mają efekty usypiające i uspokajające. Ma dość nieprzyjemny zapach, ale znośny smak. Fachowcy zalecają więc słodzenie wywaru miodem.

Wilec błękitny jest powszechnie hodowany w ogrodach i na balkonach. Do uzyskania efektu eksperci zalecają użyć nasion. Pozostałe nadziemne części rośliny trzeba bowiem żuć długo i szczęśliwie lub zrobić z nich napar. Wilec wywołuje podobny do LSD stan trwający około sześciu godzin.

Grządka pełna wrażeń

Miłośnicy własnych działek i posiadacze przydomowych grządek, żeby się otumanić, nie muszą nawet korzystać ze spacerów. Wszak koper ogrodowy można uprawiać w każdym ogródku. A jak go się nie ma, to po nasiona biegnie się do sklepu zielarskiego. Z nasion kopru wyciska się olej. W małych dawkach ma on działanie pożyteczne dla pobudzania pracy żołądka. Duże dawki skuteczne psychoaktywnie są toksyczne dla wątroby i szkodliwe dla nerek, ale dają miłego kopa na pograniczu halucynacji.

Koper włoski, czyli fenkuł, to nie to samo co koper ogrodowy, ale równie skuteczny dla miłośników dziwnych doznań. Nasiona kupi się wszędzie tam, gdzie inne przyprawy. I tu też istotny jest olej. Powoduje drgawki podobne do epileptycznych i halucynacje. W przypadku niektórych osób może wywołać atak prawdziwej padaczki. Składniki oleju są toksyczne dla wątroby i drażniące nerki. Normalne ilości używane jako przyprawa są bezpieczne. Zbyt duże dawki mogą jednak spowodować, że użytkownik stanie się rośliną i to niekoniecznie fenkułem.

Ze zdobyciem pietruszki zwyczajnej nie ma raczej problemu. Surowcem do odlotowych doznań jest olej z nasion. Jego działanie jest czasem stymulujące, a czasem halucynogenne. Podobnie jak w przypadku kopru, olej jest pożyteczny dla żołądka jedynie w małych dawkach. Dawki, o które chodzi miłośnikom odlotów, czyli duże, niszczą przy okazji wątrobę i są szkodliwe dla nerek.

Nasiona gałki muszkatołowej są dostępne na każdym stoisku z przyprawami. Jak się je zje w odpowiedniej ilości, to przez pierwsze 45 min. można mieć nudności. Później zaś kilka godzin wesołkowatości i chichotania. Następnie suchość w jamie ustnej i gardle, wypieki na skórze oraz zaczerwienione oczy, uczucie mocnego odurzenia, zaburzenia mowy i funkcji motorycznych. Po tym wszystkim przychodzi uspokojenie, otępienie z niemożnością zaśnięcia, euforia i sen na jawie. Odlot trwa około 12 godzin, po których następuje doba senności. Przy czymś takim najczęstsze skutki uboczne w postaci krótkotrwałego zatwardzenia i trudności z oddawaniem moczu są zupełnie nieistotne.

Nawet jeśli nie mieszka się na Lubelszczyźnie, gdzie chmiel rośnie wszędzie, ze zdobyciem jego szyszek w epoce internetu nie powinno być problemu. A do psychostymulacji wykorzystuje się właśnie szyszki. Chmiel może być palony jak marihuana, ekstraktowany przy użyciu alkoholu lub może służyć do przygotowania naparu. Ma działanie uspokajające. Przy paleniu daje łagodnego, zbliżonego do trawy kopa i nieco uspokaja. Chmielowanie się przez długi czas może wywołać zawroty głowy, otępienie umysłowe oraz – u niektórych osób – łagodne objawy żółtaczki. Ponoć pnącza chmielu można zaszczepić na bryle korzeniowej marihuany. Wynikiem tego zabiegu będzie zamaskowana dla policji roślina wyglądająca na normalny chmiel, jednak zawierająca aktywne składniki trawki.

Za lasami, za łąkami

Wizyta na łące lub w lesie sama w sobie jest psychostymulująca, choćby z powodu dotlenienia się. Jeśli dla kogoś to za mało, powinien się schylić. A nuż natknie się na powszechny chwast zwany piołunem. Jego inną nazwą jest absynt, co już wiele tłumaczy. Do celów rozrywkowych wykorzystuje się wszystkie zielone części rośliny. Dają efekty narkotyczne, czyli odlot. Nadmierne długotrwałe zażywanie robionego na piołunie absyntu może spowodować uzależnienie i doprowadzić do wyniszczenia organizmu. Zaś samo spożycie olejku lotnego może wywołać nerwowość, otępienie i drgawki.

Na łąkach kocimiętka jest dostępna za darmo. Ale za psie grosze można ją kupić w każdym sklepie zoologicznym. W celu odpłynięcia pali się liście kocimiętki same lub wymieszane z tytoniem w równych proporcjach. W czystej postaci papieros wywołuje łagodną euforię, taką jak przy marihuanie. Jednak po zmieszaniu z tytoniem efekt jest intensywniejszy i znacznie dłuższy.

Lulek czarny nie bez przyczyny jest też zwany szalejem czarnym. Żeby się nim sponiewierać, wystarczy zastosować dowolną część tej pokrytej włoskami śmierdzącej rośliny występującej w okolicach śmietnisk i dróg. Liście i nasionka pali się dla uzyskania efektu odurzającego. Korzenie są wykorzystywane do gotowania wywaru. Lulek ma działanie halucynogenne i uspokajające. Średniowieczne europejskie czarownice twierdziły, że nadmierne korzystanie z niego może wywołać permanentne szaleństwo.

Z liści i korzeni chwastu zwanego sałatą jadowitą robi się ekstrakty. Mają działanie uspokajające, podobne do opium, ale mniej wyraźne. Dawniej używano tego ziela jako substytutu opium. Duże dawki mogą jednak być toksyczne.

Wilcza jagoda, czyli belladonna, jest bohaterką nie tylko kryminałów o trucicielach. Miłośnicy odlotów wykorzystują liście i korzenie tej byliny. Mają one działanie halucynogenne, hipnotyczne, przeciwcholinergiczne. Ryzykanci z nich, bo zielsko to jest hipertoksyczne. Nawet umiarkowane dawki mogą okazać się śmiertelne. Korzenie zawierają apoatropinę zabójczą już w małych dawkach, szczególnie przy przyjmowaniu doustnym.

Tatarak występuje w polskiej kinematografii, literaturze oraz na bagnach i brzegach jezior oraz strumyków. Do wyłączenia się z normalnej percepcji świata stosuje się kłącza. Kawałek korzenia grubości ołówka i długości 5 cm wywołuje uczucie stymulacji i zadowolenia. Kawałek długości 25 cm działa psychodelicznie i halucynogennie.

O psylocybkach słyszeli wszyscy. W Polsce reprezentowane są przez grzybka o nazwie łysiczka lancetowata. Wykorzystuje się naziemną część ususzonych grzybów. Ich działanie zaczyna się rozluźnieniem mięśni i łagodnymi zmianami widzenia przez pierwsze 15–30 min., następnie przychodzą zawroty głowy, niemożność skoncentrowania się, halucynacje wzrokowe i słuchowe, ospałość, uczucie wyobcowania, wyłączenia z rzeczywistości, jednak bez utraty świadomości. Faza szczytowa następuje po 1–1,5 godziny od zażycia. W sumie odpływa się na około sześć godzin. Zażycie za wcześnie po posiłku może wywołać mdłości. Ciągłe spożywanie grzybków przyśpiesza procesy starzenia. Koneserzy twierdzą, że grzybki nie wykazują toksyczności przy stosowaniu przez osoby dorosłe.

Skoro jesteśmy przy grzybach, to wypada wiedzieć, że jednym z ulubionych przez uwalniaczy świadomości jest muchomor czerwony. Taki o czerwonym kapeluszu z białymi plamkami, rosnący w lasach brzozowych i sosnowych. Trzeba tylko wiedzieć, jak go przyrządzić i ile spożyć. Efekty różnią się w zależności od użytkownika, pochodzenia grzyba i dawki. Zazwyczaj mamy do czynienia z zawrotami głowy, swędzeniem oraz nudnościami po 30 min., następnie drętwieniem stóp oraz półsnem przez dwie godziny z kolorowymi wizjami i zintensyfikowanym odbieraniem dźwięków. Po tym można doznać uczucia mocy, ogromnej energii oraz siły. Halucynacje oraz zaburzenia wielkości są powszechne. Stan ten trwa około 5–6 godzin. Pewną niedogodnością dla chcących to przeżyć może być świadomość, że kilka blisko spokrewnionych gatunków muchomora jest śmiertelnie toksycznych. Niektóre z nich są nie do odróżnienia od muchomora czerwonego. Pomyłka grozi trwałym opuszczeniem znanego wszystkim świata.

Tych wszystkich kombinacji i ryzyk można by w wielu przypadkach uniknąć, gdyby znaleźli się odważni politycy i zrobili to, co Niemcy. Bo trzeba wiedzieć, że dzisiejsze zakazy przed niczym złym nie chronią.

50 butelek wódki może zabić około 20 osób. Śmiertelna dawka nikotyny dla człowieka wynosi od 40 do 60 mg. Zabija też 10 g kofeiny, czyli 50 filiżanek mocnej kawy wypitych naraz. Żeby umrzeć po marihuanie, należałoby wypalić ponad 1 000 skrętów.

TOMASZ BOROWIECKI

Logiczne? A że przy okazji dosmrodzimy sobie nieco naszą planetkę, no to już trudno. Wszystkiego naraz mieć nie można. Grunt, żeby więcej plastiku trafiało do recyklingu ku zadowoleniu unijnych urzędasów.

Kaucja, głupcze!

Śmiało można podejrzewać, że w Polsce wprowadzane przepisy mają wszelkie szanse na niepowodzenie. Ludzie zwyczajnie nie lubią, gdy się im cokolwiek narzuca, nawet w sprawach błahych. Może gdzieś tam w Niemczech, skoro już wydano *Befehl*, ludność będzie postępować zgodnie z zaleceniami i zakrętek nie będzie odrywać od butelek. Ale nie w Polsce! Przecie nie uklękniemy przed opcją niemiecką! U nas więc zakrętki będą masowo odrywane od butelek, co zresztą już się dzieje. Jesteśmy jednak dziwnie spokojni, że nie tylko w Polsce, bo nakazane przez UE rozwiązanie jest zwyczajnie niewygodne. A ludzie lubią wygodę. Można się spodziewać, że nikt nie będzie się przejmował pobożnymi życzeniami Brukseli. W efekcie nie tylko nie zwiększy się ilość plastikowych odpadów trafiających do recyklingu, ale jeszcze wyprodukujemy sobie ich więcej, żeby mieć więcej śmieci.

I będzie tak dopóty, dopóki ktoś nie wpadnie wreszcie na prosty, ale dotychczas – jak się wydaje – nieosiągalny dla unijnych myślicieli pomysł, że z recyklingiem będzie problem tak długo, jak długo ludzie nie będą materialnie zainteresowani zwrotem opakowań.

No bo za każde z nich płaci ostatecznie konsument, kupując gotowy i opakowany produkt. Następnie żąda się od niego, żeby opakowanie po zużytym produkcie oddał do recyklingu, narzucając mu do tego wiele rozmaitych wymagań. Czyli ma oddać to, za co zapłacił, a kabzę na recyklingu nabiją sobie firmy, które się tym zajmują. W dalszej kolejności zrecyklingowane opakowanie trafi w postaci nowego z kolejnym produktem do sklepu i konsument zapłaci za nie po raz kolejny. I tak w koło Macieju. Jaki interes ma w tym konsument? Żadnego, więc trudno się dziwić, że ludzie na ogół mają ekologię w dupie i wyrzucają odpady, gdzie i jak popadnie.

Gdybyśmy, oddając opakowania do recyklingu, cokolwiek z tego mieli, to wówczas ekologiczna świadomość ludzkości zaczęłaby rosnąć. Kiedyś kupowało się napoje w szklanych opakowaniach, za które płaciło się kaucję. Była ona zwracana, gdy oddało się pustą butelkę. Można było też wymienić ją na nową, pełną, płacąc już tylko za jej zawartość. System działał. I komu to przeszkadzało?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Zresztą do niedawna uczono nas, że te nieszczęsne zakrętki nie nadają się do recyklingu wraz z butelkami, bo to inny plastik. Ale można je było sprzedać firmie wyspecjalizowanej w przetwarzaniu takiego plastiku. Więc naród zbierał na potęgę, oddając te zebrane zakrętki organizacjom pozarządowym, które za uzbierane w ten sposób pieniądze najczęściej fundowały potrzebującym sprzęt rehabilitacyjny. Przynajmniej taki był z tego pożytek. No ale się skończyło i teraz potrzebujący mogą co najwyżej łyknąć z gwinta za zdrowie Unii, jeżeli sobie zębów na zakrętce nie połamią, ma się rozumieć.

Krzywizna ogórka

I jeszcze jedno: wprowadzanie takiego kontrowersyjnego przepisu niemal równocześnie z wyborami do Parlamentu Europejskiego to ze strony UE czyste szaleństwo. Wiadomo, że na wątpliwe unijne rozporządzenia najbardziej utyskują eurosceptycy, prawicowe oszołomy, konfiarze etc., etc. oraz obywatele unijnie słabo uświadomieni. Jest to więc woda na młyn antyunijnej gadki wszelkiej maści populistów. Czy naprawdę bruksel-skim czynownikom o to chodzi, by za pomocą narracji bazującej m.in. na takich głupawych pomysłach nieodpowiedzialne czynniki zohydzały nie dość unioentuzjastycznym obywatelom dobrodziejstwo zjednoczonej Europy? Naprawdę trudno się potem dziwić ludziom, że te antyunijne gadki kupują. Unia wszak już próbowała nam prostować ogórki, robić z ryb plankton, decydować, z czego może powstać dżem itp. Omawiany tu pomysł należy raczej też zaliczyć do podobnie radosnych, bo to też takie prostowanie ogórków, tylko trochę inaczej.

Co zatem mają myśleć ludzie o Unii, która zajmuje się pierdołami i we wtykaniu swojego nochala w niemal każdą dziedzinę życia rywalizuje z Kościołem kat., a nie potrafi zadbać o jedną wspólną politykę, o równe prawa jednakowe dla wszystkich obywateli całej UE, równe ich zarobki, warunki pracy i bytowania? Właściwie nieistotne staje się potem, co UE zaleciła, jakie były motywacje, jakie przyświecały cele. Ważne będzie tylko to, co z tego zostanie ludziom w głowach. A zostanie, że Unia uprzykrza im życie obowiązkowymi zakrętkami na smyczy. No to precz z taką Unią, a zakrętki i tak urwiemy!

A potem będzie płacz i zgrzytanie zębów, że w UE do głosu dochodzą prawicowi populiści.

EDYTA BAKER

eprasa.pl f5a368e4e4

Relacja z pierwszomajowego Marszu Pokoju

Pierogi tak, szczepienia nie

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dawno minęły czasy, w których na 1 Maja odbywał się jeden potężny pochód, o frekwencję dbały załogi państwowych zakładów przemysłowych, służby mundurowe i uczniowie szkół, a hasła były jednoznacznie lewicowe i utrzymane w konwencji „Pokój, Praca, Socjalizm". Dziś od Międzynarodowego Dnia Solidarności Ludzi Pracy państwo się odcina, a obchody organizują różnorakie organizacje.

Pochodów dużo, ludzi niewielu

Tradycyjnie pochód zorganizowała parlamentarna lewica wraz z Ogólnopolskim Porozumieniem Związków Zawodowych. Frekwencja była mizerna i demonstrującym z trudem udało się zapełnić placyk przed siedzibą OPZZ. Być może masowa absencja spowodowana była oceną pracy lewicowych ministrów w nowym rządzie i odejściem od tradycyjnego lewicowego pacyfizmu na rzecz wojennego podżegactwa. Liderów Lewicy odpływ elektoratu najwyraźniej nie interesuje, mają bowiem inne zmartwienia – Robert Biedroń marzy o kolejnej pięciolatce na brukselskim wikcie, zaś Czarzasty walczy o utrzymanie partyjnego przywództwa przynajmniej do roku 2025, aby zgodnie z koalicyjną umową objąć stanowisko marszałka sejmu, co wydaje się szczytem jego politycznych ambicji. Przypomina się rok 2004, gdy Leszek Miller za wszelką cenę walczył o utrzymanie się na stołku premiera do dnia wstąpienia do UE, aby zapisać się w historii jako ten, który Polskę do wspólnoty wprowadził. Wówczas poskutkowało to spadkiem poparcia dla SLD z 41 do 11 proc.

W kontrze do demonstracji lewicy sejmowej, jak co roku wiecowała lewica pozaparlamentarna. Naprzeciw dawnej siedziby KC PZPR zgromadzili się aktywiści: Czerwonego Frontu, Historii Czerwonej, Komunistycznej Partii Polski, Polskiej Partii Robotniczej i kilku innych jeszcze mniejszych organizacji – ogółem zjazd lewicowych kanap liczący w porywach 150 osób. Organizatorem był aktywista Piotr Ciszewski, a hasłem przewodnim – „Pracy i chleba, chleba i pokoju!". W tym roku z demonstracji wyłamał się Piotr Ikonowicz, oskarżając organizatorów o poparcie Rosji w wojnie na Ukrainie.

Ikonowicz z grupką towarzyszy z założonego przez siebie Ruchu Sprawiedliwości Społecznej przybył pod KC pół godziny po Ciszewskim.

Kilkaset metrów od walczących o swój kawałek skwerku przed Komitetem Centralnym Ikonowicza i Ciszewskiego, na Krakowskim Przedmieściu odbyła się impreza mainstreamowa: Piknik Europejski z okazji dwudziestolecia wstąpienia Polski do Unii Europejskiej. Na imprezę pieniądze wyłożył ratusz, zatem byli muzycy, baloniki, chorągiewki i wiele innych atrakcji.

Opozycja wobec zadowolonych z siebie unijczyków zgromadziła się zaś na placu Konstytucji. Zorganizowany pod patronatem różnorodnych prawicowych czasopism, portali i stowarzyszeń Marsz Suwerenności przemaszerował pod hasłem „Nie chcemy takiej Unii!", a dominującym żądaniem demonstrujących był szybki polexit.

Gotówka, złotówka, nuda

Ja tymczasem wybrałem się na, podobno ponadpartyjny, Marsz Pokoju. Demonstracja rozpoczęła się w samo południe w parku im. Traugutta na warszawskim Żoliborzu.

Estetyka patriotyczno-pokojowa przypomina nieco dawne pochody: dużo biało-czerwonych flag i wypisane czerwoną farbą hasła: „To nie nasza wojna", „No War!", „Silna Polska potrzebuje nas żywych" itd. Wiele jest także flag palestyńskich. Brakuje tylko haseł robotniczych i uczestników – mimo pięknej pogody do parku zeszło się może sto osób.

Z bliska dostrzegam banery Głosu Silnej Polski, czyli komitetu założonego przed wyborami europejskimi przez dr. Leszka Sykulskiego. Na rozdawanych ulotkach można przeczytać jego postulaty: „TAK dla Rodziny, TAK dla pokoju", „To nie nasza wojna", „Polak w Polsce Gospodarzem", „Bronimy Gotówki i Złotówki", „Polexit", „Stop amerykanizacji Polski", „Stop ukrainizacji Polski", „Stop WHO". Wiec ochraniają ziewający policjanci.

– Nic się nie dzieje, wieje nudą – mówi jeden z nich.

Pytam demonstrujących dlaczego tu przyszli.

– Jesteśmy przeciw wojnie, a nasze władze, zarówno PiS, jak i PO, chcą nas wciągnąć do tej wojny. A to nie jest nasza wojna – mówi Wanda.

– Jestem wdzięczna panu Sykulskiemu, że organizuje takie marsze – dodaje Jagoda, nauczycielka w jednej z warszawskich szkół. – Niestety, ludzie nie widzą, że wojna jest realnym zagrożeniem. W tym roku jest znacznie mniej ludzi niż w ubiegłym. Dlaczego? Bo wszyscy słuchają mainstreamowych mediów, tefałenów różnych, głosują na PO i nic ich nie obchodzi. Nawet rolników nie popierają. To jest katastrofa.

Niemcy, Żydzi i szczepionki

Po przemówieniu organizatorów tłum zaczyna skandować: „USA – imperium zła", „Rosja nie jest naszym wrogiem", „Wołyń, Wołyń pamiętamy" i oczywiście „To nie nasza wojna" – czyli główne hasło marszu. Najbardziej imponującym elementem pochodowej scenografii jest ogromna biało-czerwona flaga, którą trzyma kilkadziesiąt osób.

– Rozciągamy się, to jest flaga narodowa, ma się po ziemi nie walać – krzyczy jeden z organizatorów, a pochód powoli rusza w kierunku Starówki. Liderzy protestu na chwilę przerywają skandowanie, więc można posłuchać, co uczestnicy mówią między sobą.

– Wiesz co, Niemcy i tak nas za gardło trzymają, więc ja nie wiem, czy te nasze marsze w ogóle mają sens – wątpi jedna z uczestniczek.

Morale obniża także podpity przechodzień.

–Po co wy idziecie? Tu byli i są złodzieje u władzy, nic się nie zmieni. Taki to kraj zasrany – krzyczy do demonstrantów, ale organizatorzy zaczynają go zagłuszać: „Wołyń, Wołyń pamiętamy", „Polsko bądź spokojna, to nie nasza wojna"...

Samym skandowaniem trudno wypełnić treść marszu, a przemówienia antywojenne również się kończą, zatem do mikrofonu przebijają się zawodowi antysystemowcy. Przekaz pokojowy wypierają opowieści o przymusowych szczepieniach i likwidacji gotówki. Pojawiają się też Żydzi rządzący światem.

Antyszczepionkowe hasła nie przypadają zgromadzonym do gustu, zatem organizatorzy rzucają „przekaz do żyjących w Polsce Ukraińców": „W Polsce bawisz się jak w raju, zamiast bronić swego kraju". Trochę kłóci się to z pokojową narracją – przeciwnikom wojny winno raczej zależeć, żeby jak najmniej Ukraińców przebywało na froncie – ale zgromadzeni podchwytują hasło. Demonstracje obserwują zaciekawieni przechodnie.

– Co sądzicie o tym marszu? – pytam.

– Niech każdy mówi co chce, w końcu mamy wolność słowa – mówi turystka szukająca pomnika Powstańców Warszawskich.

– A z hasłami się zgadzacie?

– A o co im w ogóle chodzi?

– O pokój, żeby Polska nie brała udziału w wojnie.

– Aha, no to słusznie, popieram!

– Ale się nie przyłączycie?

– Nie, ja pozwiedzać przyjechałam, nie wie pan, gdzie ten pomnik?

Turyści i unijczycy

Mija pierwsza godzina marszu, i już tylko najgorliwsi skandują. Pozostałych zajmują ożywione dyskusje.

– Generalnie jestem przeciwna wojnie i wciąganiu Polski w wojnę, a poza tym denerwują mnie ci Ukraińcy. Łażą po mieście i drą się „Sława Ukrainie". Rzygać się chce, jak to się słyszy – mówi Małgorzata.

– Ja już swoje lata mam i powiem panu, panie redaktorze, że przyjaciół trzeba szukać blisko, a wrogów, jeśli w ogóle, to daleko. A Polski rząd chce nas skłócić z naszymi sąsiadami, dlatego protestuję – dodaje Janusz.

Demonstracja wkracza na Podwale, z którego wylewają się tłumy turystów.

– Podoba nam się ten marsz – oświadcza Mariusz, który do stolicy przybył ze Skarżyska-Kamiennej. – To nie nasza wojna i nie chcę, żeby politycy zaciągnęli nas na front.

– Na pewno wojna nie jest w naszym interesie. Powinniśmy się przygotowywać na ewentualny atak, ale nie pchać się na Ukrainę. Warszawa wojnę pamięta i to jak nas wtedy sojusznicy wystawili – dodaje Robert.

Protestem zainteresowali się też wizytujący Warszawę niemieccy turyści.

– Ukraina to nie Europa. Powinniśmy wycofać się z tej wojny – mówią po angielsku.

Jednak nie wszyscy popierają Marsz Pokoju. Z Krakowskiego Przedmieścia przybywają uczestnicy Pikniku Europejskiego.

– Nie podoba nam się ten protest. My jesteśmy za Unią i przeciw prawicy. Zresztą Polska nie walczy na Ukrainie, a broń trzeba wysyłać, bo Ukraina jest częścią Zachodu. A Zachód, zachodnia tożsamość jest najważniejsza – mówi Zofia.

– Trzeba bronić Ukrainy, bez dyskusji – dodaje jej koleżanka, dzierżąca w ręku unijną szturmówkę. Demonstracja dobiega końca. Pod pomnikiem Małego Powstańca już nikt nie słucha organizatorów ględzących o sekcie Chabad-Lubawicz, która rządzi Polską i przedstawicieli Polskiego Ruchu Lewicowego lamentujących, jak zachód zniszczył PGR-y, fabryki traktorów i samochodów małolitrażowych. Demonstrujący rozchodzą się po knajpach i mieszają z turystami.

– Wy sobie idziecie do knajp i macie piękną majówkę zamiast protestować. Pogoda jest piękna jak w sierpniu 1939, a wy tak samo siedzicie i się bawicie – krzyczą zdesperowani organizatorzy.

Jednak głodnych protestujących nie powstrzymują ani organizatorzy, ani ceny (osiem pierogów kosztuje 30,99 zł, a schabowy z ziemniakami 42,99 zł), ani nawet 10 proc. obowiązkowego napiwku dla obsługujących ich ukraińskich kelnerek. Demonstracja nieuchronnie dobiega końca…

MAREK SANOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Dowódca Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Wiesław Kukuła oświadczył na antenie Polskiego Radia 24: „Dziś jesteśmy przekonani, że ewentualna wojna będzie długotrwała, krwawa i większość żołnierzy zawodowych nie dotrwa do jej końca". Takie zachęty na pewno skłonią młodych Polaków do wstąpienia w szeregi armii.

☆ Na Ukrainie rozkręca się walka z Michaiłem Bułhakowem – pomniki i popiersia pisarza są nagminnie dewastowane. Bułhakow naraził się, opisując hetmana Pawła Skoropadskiego – ukraińskiego nacjonalistę, kolaborującego z Hitlerem i współpracującego ze Stepanem Banderą. W powieści „Biała Gwardia" tak podsumował jego dokonania: „Waszego hetmana powiesiłbym najpierw za zorganizowanie tej drogiej Ukrainy. (…) Kto terroryzował ludność rosyjską tym ohydnym językiem, który nawet nie istnieje na świecie? Hetman. Kto wyhodował te wszystkie szumowiny z ogonami na głowie? Hetman…". Wrogowie Bułhakowa zapominają dodać, że Stalin go lubił.

☆ „Prawo i Sprawiedliwość jest koniem trojańskim #Putin, kolesie Orbana największego przyjaciela Putina. Jesteście Koniem Trojańskim Putina w Unii Europejskiej" – napisał 5 maja na portalu X wicemarszałek sejmu Piotr Zgorzelski (PSL). Najwyraźniej w majówkę nie tylko minister Kierwiński miał problemy z pogłosem.

☆ Na łamach „Do Rzeczy" Maciej Pieczyński referuje zawartość ukraińskiego podręcznika historii dla klasy dziesiątej. Autorzy tak przedstawili ludobójstwo na Wołyniu: „Działacze UPA uważali za swoich wrogów ukraińskich komunistów, nazistów i Polaków. Przyczyną zaostrzenia relacji polsko-ukraińskich stały się masowe mordy na Ukraińcach, dokonane przez Armię Krajową. Była to podziemna polska armia, której dowództwo pragnęło powrotu do granic przedwojennej Polski. Jej ofiarami padli mieszkańcy Chełmszczyzny, Podlasia, Galicji i Wołynia. Krwawa walka polsko-ukraińska, w której ginęli nie tylko żołnierze, lecz także cywile, trwała do 1947 r.". Ukraina jest wyrazistym zaprzeczeniem tezy, iż historię piszą zwycięzcy. Nad Dnieprem piszą ją przegrywy.

☆ Reprezentantka Ukrainy na 68. Festiwalu Eurowizji w szwedzkim Malmö, Jana Szemajewa, znana pod pseudonimem Jerry Heil wystąpiła w bluzie „BANDERACIAGA". Jak wyjaśnia producent, bluza powstała, gdyż Stepana Banderę i luksusową hiszpańską markę odzieżową Balenciaga łączy umiłowanie do wolności. Ciekawe, czy polscy telewidzowie, podobnie jak w zeszłym roku, „solidarnościowo" zagłosują na ukraińską piosenkarkę.

☆ #Silnirazem, czyli obecna na portalu X a dowodzona przez Tomasza Lisa i Romana Giertycha sekta wyznawców Donalda Tuska ma nową teorię spiskową: Centralny Port Komunikacyjny to rosyjski projekt. Dowodem jest kilku internautów mieszkających w rosyjskim Pskowie, którzy w swych publikacjach użyli określenia CPK. „Sprawa jest śmiertelnie poważna. Duża część medialnego wsparcia dla operacji budowy CPK pochodzi z Rosji. Oznacza to, że na obecnym etapie Rosja uznaje wspieranie tego projektu, a przynajmniej podziału na tym tle za korzystne dla siebie. Dlaczego?" – napisał na X Roman Giertych. Z jego strony brzmi to jak pochwała projektu, bowiem w 1994 r. Giertych pisał: „Obok spraw gospodarczych najistotniejsza jest kwestia kierunku prowadzenia polityki zagranicznej. Te kierunki moim zdaniem powinny być dwa: ścisły sojusz z Rosją i współorganizowanie europejskiej koalicji państw zmierzającej do przeciwstawienia się dominacji niemieckiej".

MAREK SANOWSKI

eprasa.pl f5a368e4e4

Kasa, PiSiu, kasa

Polski sport jest w kryzysie, co potwierdzi zbliżająca się olimpiada, o piłkarskich mistrzostwach nie mówiąc.

Rys. LESŁAW KUCZERSKI

Należę do wcale licznej grupy osób, które wkurza ślimacze tempo, w jakim rozliczani są przedstawiciele poprzedniej ekipy rządzącej winni nadużyć i patologii życia społecznego oraz gospodarczego. Znajoma, w ogóle nie związana ze sportem, powiedziała mi, że jeśli kogoś nie posadzą, to ona drugi raz nie będzie stała w kolejce dwóch godzin, żeby zagłosować.

Prawdę mówiąc, liczyłem, że w sporcie też coś się ruszy. Oczywiście wiem, że wszelkie zmiany wprowadzać tu jeszcze trudniej – sport to autonomiczna dziedzina, podlegająca międzynarodowym federacjom i organizacjom, a nie krajowym rządom. To miało zabezpieczać go przed upolitycznieniem. PiS-owi udało się jednak skutecznie sport upolitycznić.

Wszystkie Ryśki Jarosława

Zacznijmy od samej góry, od Polskiego Komitetu Olimpijskiego, wszak igrzyska w Paryżu tuż-tuż. PKOl powinien być apolityczny. Pod rządami ekipy Jarosława Kaczyńskiego stał się tak apolityczny jak Trybunał Konstytucyjny i Narodowy Bank Polski.

PiS pomaleńku wprowadzał do władz polskiego olimpizmu swoich ludzi. W 2018 r. wiceprezesem do spraw kontaktów zewnętrznych został Tomasz Poręba, prominentny działacz rządzącej partii. Spotkał w komitecie swojego kolegę, nieocenionego Ryszarda Czarneckiego, który po porażce w wyborach na prezesa Polskiego Związku Piłki Siatkowej (gdzie zdążył jako wiceprezes wyjeździć podejrzane „kilometrówki", co jest jego specjalnością), zaczepił się po cichutku w ruchu olimpijskim.

W jakiej roli i kiedy – nie podawano do wiadomości. Sprawa wydała się podczas igrzysk olimpijskich w Tokio. Rozgrywano je w pandemicznych czasach, bez kibiców, przestrzegano surowych reżimów sanitarnych, obowiązkowe było zasłanianie twarzy. Podczas zawodów we wspinaczce wśród garstki obserwatorów wyróżniała się pucołowata buźka pana Ryszarda, której nawet maseczka nie zdołała ukryć. Podejrzewano, że do Tokio Czarnecki pojechał z ramienia związku siatkarzy – siatkarze jednak szybko poinformowali, że w składzie ich delegacji nie ma nikogo o nazwisku Czarnecki i imieniu Ryszard. Dopiero wówczas PKOl przyznał, że pisowski europoseł pojechał do Tokio jako działacz komitetu, już nie pamiętam, w jakiej roli. To zresztą było najmniej ważne.

Wreszcie przyszły wybory prezesa PKOl. PiS przeprowadził akcję w swoim stylu. Wynik wyborów był znany z góry. W środowisku sportowym jest jeszcze trochę ludzi mojej generacji, którzy uczestniczyli w tej inscenizacji i opowiedzieli mi, jak to wyglądało. Początkowo jedynym kandydatem miał być serdeczny kumpel wicepremiera Jacka Sasina – Radosław Piesiewicz. Później pojawił się kontrkandydat w osobie prezesa Polskiego Związku Sumo Kewina Rozuma. Co ciekawe – sumo nie jest dyscypliną olimpijską.

Wybory władz PKOl przebiegały według scenariusza i Radosław Piesiewicz z druzgocącą przewagą pokonał konkurenta. Władimir Putin w niedawnych wyborach prezydenta Rosji też miał jakichś konkurentów, którzy nie mieli szans na zwycięstwo. To nie jedyne porównanie Piesiewicza z Putinem, jakie mi się nasunęło. Po wyborach nowy prezes PKOl zadbał o przedłużenie swojej kadencji.

Pisiewicze Sasina

Dla Radosława Piesiewicza, w rozmowach między ludźmi sportu nazywanego czasem Pisiewiczem, wynik wyborów parlamentarnych okazał się cenną nauczką. Wcześniej najprawdopodobniej w ogóle nie brał pod uwagę, że partia Jarosława Kaczyńskiego może stracić władzę. Teraz należało zatroszczyć się o swoją przyszłość. Najlepiej przedłużyć kadencję dożywotnio, a jeśli się nie uda, to przynajmniej do 2032 r. Dzięki podobnym praktykom Putin rządzi wielkim krajem już blisko ćwierć wieku.

19 grudnia ubiegłego roku zmieniono regulamin PKOl. Piesiewicz porządzi dłużej, niż wynikałoby to z obowiązującego. Nie będę opisywać argumentów, jakimi się przy tym posługiwano, bo argumenty znajdą się zawsze i na wszelkie okoliczności.

Co decyduje o sile Piesiewicza? Na pewno nie dokonania w sporcie. Jako prezes Polskiego Związku Koszykówki doprowadził do fatalnej atmosfery w reprezentacji Polski. Najlepszy koszykarz w historii Polski Marcin Gortat to, co się dzieje, nazywa krótko skandalem – i to nie jednym. Najgłośniej było o wyeliminowaniu przez Piesiewicza czołowego europejskiego zawodnika Adama Waszczyńskiego. „To, że Waszczyńskiego nie ma w kadrze, to jest, kurwa, skandal, jakiego w polskiej koszykówce jeszcze nie było. I proszę mnie zacytować" – powiedział Gortat serwisowi Sport.pl. Serwis zacytował byłego gracza NBA, oczywiście wykropkowując wiadome słówko po literze „k", co jest w Polsce zwyczajem. Cytat nie był więc dokładny.

Piesiewicz ma wiele innych grzechów na sumieniu. Nie będę się nad nimi rozwodzić. Jego metody zarządzania nazwać można jednym słowem – zamordyzm. Nie toleruje krytyki, nie słucha żadnych rad, posiada monopol na wiedzę. To cechy wielce szanowane w PiS. Sposób bycia przypominający elegancję Przemysława Czarnka także jest plusem w tym gronie.

Znajomy, który całe życie spędził w sporcie – najpierw jako zawodnik, później sędzia i działacz, a nawet teraz, na emeryturze, stara się coś pomagać młodszym koleżankom i kolegom – mimo wszystko wysoko ceni Radosława Piesiewicza. Tłumaczył mi, że przecież obecny w pełni zawodowy sport nie może rozwijać się bez dużych pieniędzy. A pieniądze idą za Radosławem Piesiewiczem jak – za przeproszeniem – kaczątka za matką kaczką.

Chata i diament

Istotnie, nigdy jeszcze nie było tak bogato. Złoty medalista igrzysk w Paryżu dostanie od PKOl ćwierć miliona złotych, dwupokojowe mieszkanie, diament oraz luksusowe wakacje. Diament i wczasy dostaną też srebrni i brązowi medaliści, a ich gratyfikacje wyniosą odpowiednio 200 i 150 tys. zł.

Nie zazdroszczę sportowcom niczego. Należy się im zapłata za ciężką pracę, zmarnowane dzieciństwo i młodość. Nie obawiam się też, że grad złotych medali podczas igrzysk w Paryżu spowoduje nagły skok cen na rynku i bez tego coraz droższych nieruchomości. To już nie te romantyczne czasy sportu, gdy dyskwalifikowano zawodników za przyjmowanie tak wartościowych nagród jak radioodbiornik, pralka, czy motorower. Zapytałbym jednak, skąd biorą się te duże pieniądze.

Tu właśnie dochodzimy do osoby Radosława Piesiewicza i jego przyjaźni z byłym wicepremierem Jackiem Sasinem. Przyjaźń ta wywodzi się z dawnych czasów, gdy obaj byli skromnymi działaczami PiS w podwarszawskim Wołominie. Piesiewicz pomagał wówczas Sasinowi. Wiadomo o pożyczce, jaką go wsparł, a także o przekazywaniu pieniędzy na jego kampanie wyborcze. Przyjaźń przetrwała do czasów, kiedy Sasin zaczął decydować o wszystkim, co się działo w spółkach z większościowym udziałem skarbu państwa. Dalej już nie trzeba niczego tłumaczyć. Sport, jaki odziedziczyliśmy po ośmioletnich rządach PiS, opiera się głównie na pieniądzach z tego źródła. Gdyby Orlen przestał nagle łożyć na zawodników, kluby i rozgrywki, wszystko rozpieprzyłoby się w minutę, a nie gasło pomału, jak teraz.

To nie jest zdrowe i miałem nadzieję, że nowe Ministerstwo Sportu i Turystyki przynajmniej zacznie robić porządek. Na pewno byłoby lepiej, gdyby sponsorami były firmy z różnych sektorów, także prywatne, które lepiej potrafiłyby wydawać pieniądze. Aż się prosi o wprowadzenie jakichś podatkowych udogodnień, ale o tym cisza.

Kto decyduje o pieniądzach w sporcie? Ten, kto ma dojście do odpowiednich ustosunkowanych ludzi. Można też liczyć na odwzajemniane przysługi. Wróćmy do dwóch wspomnianych wcześniej działaczy. Tomasz Poręba zaangażował się we wspieranie drużyny piłkarskiej Stali Rzeszów, doprowadzając do nawiązania sponsorskich umów z licznymi spółkami skarbu państwa. Głównym dobrodziejem futbolistów z Rzeszowa została PGE.

Puchary i głosy

Ryszard Czarnecki uwielbia pokazywać się na sportowych arenach i wręczać puchary oraz medale zwycięzcom. Organizatorzy pozwalają mu na to, bo dzięki układom w PiS można było liczyć na finansowy zastrzyk. Swoją drogą, zawsze dziwi mnie to upodobanie pisowskiego działacza.

Podczas występów na stadionach i w halach sportowych publika – niezależnie od poglądów politycznych – bezlitośnie go wygwizduje, bo wszyscy mają już dość krępej sylwetki Rysia taszczącej do podium medale czy inne trofea.

Pana Ryszarda nic nie zraża. Może teraz trochę przygaśnie, bo przy nowej władzy będzie miał mniej do zaoferowania. Choć przy tym tempie rozliczeń starej władzy i wymiany kadr w spółkach skarbu państwa coś tam może jeszcze uszczknąć dla sportu, co da mu możliwość wysłuchania kolejnych gwizdów podczas kolejnego wręczania pucharu.

Poręba, Czarnecki i inni politycy dzięki wspieraniu klubów, zwłaszcza piłkarskich, mogą liczyć na przychylność kibiców – a przecież każdy kibic to jeden głos podczas wyborów.

Donald Tusk często manifestuje kibicowskie przywiązanie do Lechii Gdańsk. Akurat Lechia nie zależy od polskich państwowych gigantów, ale od funduszu inwestycyjnego Mada Global ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Gdyby podczas rządów PiS byt Lechii zależał od Sasina, dawno jej boisko zarastałyby chwasty. Dziś klubów piłkarskich nie kupują już rosyjscy oligarchowie, ale arabskie fundusze lub miliarderzy zza oceanu.

Ani Arabowie, ani Amerykanie nie sfinansują naszej piłki ręcznej, łucznictwa, czy kajakarstwa. A pieniądze, i to duże, są na to potrzebne. W większości problem załatwiały spółki skarbu państwa dysponujące – było nie było – naszymi pieniędzmi. Być może słuszniej byłoby w szerszym niż dotychczas zakresie finansować sport z pieniędzy także naszych, ale już wprost budżetowych. Oczywiście ministerstwo wciąż przekazuje środki na poszczególne dyscypliny, jednak dalece niewystarczające do ich utrzymania.

Stworzony przez poprzedni rząd system finansowania sportu za pośrednictwem podległych sobie spółek skarbu państwa kryje niebezpieczeństwo. Grupa Azoty SA popadła w kłopoty finansowe. To główny sponsor wielokrotnych mistrzyń Polski, siatkarek z Polic. Pieniądze przestały płynąć, zachodziła nawet obawa, że nie dokończą sezonu. Sezon dokończyły, zdobyły w dodatku kolejne mistrzostwo, ale możliwe, że do kolejnego nie przystąpią.

Siatkarki z Polic nie są jedyne. Azoty sponsorowały liczne kluby. Groźba upadku zawisła nad Wisłą Puławy, Azotami Puławy, Padwą Zamość, pieniądze nie popłyną też do bardzo znanych siatkarzy ZAKSA Kędzierzyn-Koźle i żużlowców Motoru Lublin. Te dwa zespoły na pewno jakoś sobie poradzą, to duże firmy, z licznymi sponsorami, także prywatnymi.

Nowe władze Azotów wydały komunikat, w którym poinformowały, że naczelnym zadaniem spółki jest zapewnienie ciągłości jej funkcjonowania i wdrożenie programu naprawczego. Sponsoring sportowy schodzi na dalszy plan. Logiczne.

Kto będzie następny? W klubach korzystających z pieniędzy spółek skarbu państwa nie jest teraz chyba wesoło.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski.
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 8.05.2024 r.**

eprasa.pl f5a368e4e4

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Telewizyjny talent show „Jacy oni są trzeźwi". Finał. Występuje dwóch uczestników, ale wygrać może tylko jeden. Nagrodą, przypomnijmy, są wczasy w gminie Gwizdek, honorowe członkostwo w dowolnej grupie Anonimowych Antyalkoholików oraz dożywotni zapas nonesperalu.

Zawodnik numer jeden to znany trzeźwak Mariusz Kamiński. Przyjaciele nazywają go Ceratą – dlatego, że jako wolontariusz w czasie wolnym od pracy wyszukuje na ulicach pijaków i podkłada im ceratę, żeby nie zapaskudzili trotuaru.

Zawodnikiem numer dwa jest ulubieniec publiczności Marcin Kierwiński, zawodowo zajmujący się zdobywaniem wyników trzeźwości za pomocą alkotestów. W swojej kolekcji ma ponad tysiąc eksponatów; prawie na wszystkich zapisano wskazanie 0,0. Na jedenastu wynik jest ujemny.

Zadanie pierwsze: odpowiedź na pytanie o trzeźwość.

– Jesteście świniami – odpowiada zawodnik Kamiński.

– Przeciwko tym, kto powie, że byłem pijany, rozważę podjęcie kroków prawnych – odpowiada zawodnik Kierwiński.

Jury pod przewodnictwem prezydenta Andrzeja Dudy udaje się na naradę. Po kwadransie przewodniczący wraca i ogłasza zwycięstwo zawodnika Kamińskiego. Jeden zero.

Zadanie drugie: narysuj, jak sobie wyobrażasz Jacka Danielsa. Masz na to pół godziny.

Według zawodnika Kierwińskiego Jack Daniels jest członkiem rządu Donalda Tuska. W pocie czoła pracuje na chwałę narodu polskiego, pisowcom na pohybel. Gdy dostaje propozycję kandydowania do europarlamentu, nie zgadza się, bo honor nie pozwala mu na robienie sobie z gęby cholewy.

Zawodnik Kamiński rysuje Jacka Danielsa w roli agenta białoruskiego wywiadu. Agent wygląda jak świnia.

Wiceprzewodniczący jury Roman Giertych: – Niestety obydwaj zawodnicy popełnili błąd i nie zdobyli punktu. Jack Daniels był technikiem odpowiedzialnym za nagłośnienie podczas obchodów Dnia Strażaka.

– Było dwóch techników – dodaje przewodniczący Duda – Jack Daniels i Jim Beam.

Ostatnie zadanie: w scence rodzajowej odegraj rolę pijaka. Przygotowania nie mogą ci zająć więcej niż pół godziny, a scenka nie więcej niż trzy minuty.

Zawodnik Kierwiński odgrywa rolę w dupę pijanego ministra spraw wewnętrznych, który wygłasza bełkotliwe przemówienie, a następnie grozi sądem wszystkim, którzy uważają, że pijany minister nie powinien być kandydatem do parlamentu europejskiego.

Publiczność szaleje.

Przebrany za świnię zawodnik Kamiński podkłada sobie ceratę, wali kupę i szcza w pozycji horyzontalnej.

Publiczność szaleje.

Jury udaje się na naradę. Kwadrans później przewodniczący Duda ogłasza: – Zwycięzca dostanie trzy procent na zbrojenia, spędzi zwariowaną noc z Donaldem Trumpem, weźmie udział w nuclear sharing oraz uzyska prawo do mianowania kandydata na komisarza europejskiego.

A potem podnosi z podłogi świnię Kamińskiego i bierze w ramiona jego chude ciało.

Szaleństwu publiczności nie ma końca.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

Bywają takie tygodnie, kiedy **JOANNA SENYSZYN** nie bardzo ma o czym gadać z **AGNIESZKĄ WOŁK-ŁANIEWSKĄ**. Po tej majówce mają do obgadania tyle, że nie mogą się dogadać, co je najbardziej śmieszy.

Senyszyn: – Jeszcze w poniedziałek bym powiedziała, że rozwój wypadków po bełkotliwym wystąpieniu min. Kierwińskiego podczas centralnych obchodów Dnia Strażaka…

Wołk-Łaniewska: – Ale to było przed brawurową ucieczką sędziego Szmydta do kraju, gdzie „można spokojnie żyć"… To zresztą ryzykowny cytat. Pamiętasz kapitana Iwana Pawłowa?

– Jakiś twój rosyjski znajomy?

– Chciałabym. To postać z „Czterech pancernych" grana przez pięknego Aleksandra Bielawskiego. W ostatnim odcinku jest taka scena, kiedy po rozminowaniu twierdzy Kłodzkiej, Pawłow, saper, mówi: „No теперь можно спокойно жить". I pomiędzy „spokojnie" i „żyć" dostaje kulę w pierś od niemieckiego bachora.

– Bachory szkodzą, zawsze to mówimy.

– Wracając do aktualności…

– No dobra, to po kolei. „Boska Iga 2:1 (Królowa na długo), moja Lechia 3:0 (prawie ekstraklasa), no i Marcin Kierwiński 0,0. Magiczny wieczór".

– Twój?

– Co „mój"?

– Boski wieczór z Igą, Lechią i Kierwą...

– Nie żartuj! To wpis premiera Tuska na platformie X. Szef polskiego rządu urzędowe potwierdzenie, że jego minister był trzeźwy podczas pracy, przyrównał do sukcesu Igi Świątek w turnieju WTA 1000 w Madrycie, gdzie pokonała Sabalenkę 2:1, i do wygranej 3:0 Lechii Gdańsk z GKS Tychy. Jakie trzeba mieć złe doświadczenia z podwładnymi, że za magiczny bierze się fakt ich trzeźwości w pracy?

– Nie wiem, rzadko kiedy miewałam podwładnych i zawsze byłam gotowa się z nimi napić. To dobrze robi na proces twórczy.

– Zależy, co się tworzy. Jak rząd, to niekoniecznie.

– Ale co się czepiasz, przecież to było sprzężenie w nagłośnieniu. I minister ma na to zaświadczenie z Komendy Rejonowej Policji Warszawa II, i ja w nie wierzę bez zastrzeżeń, bo to przecież całkowicie niemożliwe, żeby minister spraw wewnętrznych wydał policji polecenie wydania sobie nieprawdziwego zaświadczenia. Na zaświadczeniu jest nawet informacja, że dmuchał przez dziewięć sekund, co jak na polityka ze wzwodem do wewnątrz zdaje się mieścić w normie…

– Nie czuję się specjalistką od normatywnego czasu dmuchania, ale skoro Kierwiński zieje chęcią odwetu i straszy pozwami wszystkich, którzy nie wierzą, to mamy sytuację jak z Kobuszewskim, który na stwierdzenie dziennikarza „Pan to musi bardzo kochać swoją żonę" odpowiedział: „Muszę". Zwłaszcza, że sprawa jest rozwojowa. Kierwa o Protasie napisał: „Zakładam, że pan Protasiewicz realizuje w swoim chorym umyśle jakąś vendettę". „Chory umysł" tak samo się kwalifikuje do sądu jak „nawalony messerschmitt", a może nawet bardziej.

– W tej sprawie zgadzam się z Biedroniem, który radzi Kierwińskiemu, żeby odpuścił, choć sposób, w jaki to ujął, nieco mnie zaskoczył. „Co się dzieje w majówkę, zostaje w majówce" – pouczył Kierwę Biedroń, parafrazując słynną sentencję „what happens in Vegas, stays in Vegas". To świadczy, że dla europosła strażacka akademia na placu Piłsudskiego jest równie upojna jak weekend w pustynnej stolicy hazardu. Ale merytorycznie Biedroń ma rację…

– Pewien znany francuski aktor żalił się przyjacielowi, że w nocy w paryskim zaułku ktoś dał mu po pysku. Zapytany, czy poda go do sądu, odpowiedział: „A skądże! Nie było przy tym nikogo, a teraz ma się dowiedzieć pół Paryża?". Choć z drugiej strony: chłop ma przynajmniej bezpłatną kampanię wyborczą w mediach. Do tej pory prawie nikt go nie znał, a wreszcie jest na ustach całej Polski. Będzie o nim jeszcze głośniej, jeśli naprawdę poda do sądu wszystkich, którzy podejrzewali stan upojenia. A przede wszystkim Protasiewicza, bo nie tylko wypiera się picia z nim, ale nawet znajomości.

– Może zapomniał? To się czasem zdarza, jak się za dużo wypije, ma nawet piękną nazwę: „palimpsest"… Czy możemy już przejść do mojego ulubionego newsa z tego tygodnia?

– Widzę, że już się nie możesz doczekać.

– Owszem. Otóż kiedy sędzia Szmydt wybrał wolność na Białorusi, koledzy dziennikarze postanowili, że jest to zdrada ojczyzny, sprawa poważna i trzeba ją poważnie traktować. W związku z tym jedna strona przypomina, że był w grupie „kasta", a druga, że potem skruszał i kastę dekonspirował w sejmie u boku Gasiuk-Pihowicz, a Szczerba go chwalił za „odwagę cywilną". Ale nikt nie przypomina najwspanialszego elementu tej historii, a mianowicie czworokąta Szmydt–Szmydtowa–Cichocki–Krystyna Pawłowicz.

– Zainteresowałaś mnie.

– Opowiadam. Szmydt miał żonę, Emilię, znaną szerzej jako „Mała Emi".

– „Małą Emi" pamiętam, to twarz afery hejterskiej.

– Dokładnie. I ta „Mała Emi", walcząc o Polskę, poznała w okopach sędziego Cichockiego i miłość rozkwitła jak ogród różany, albo jeszcze lepiej: jak rozmaryn…

– Raczej gorzej, bo rozmaryn miał się rozwijać, a miłość do „Małej Emi" się zwinęła.

– Faktycznie. Szmydt ją rzucił, Cichocki chyba też i „Mała Emi" zaczęła pisać do Krystyny Pawłowicz. „Bardzo chciałabym mieć taką mamę jak Pani, która gdy trzeba przytuli, a gdy trzeba zruga. Nigdy takiej matki nie miałam. Moja mama nie kochała mnie. Byłaby Pani wspaniałą Mamą, tak jak jest Pani taką mamą dla całej Polski"…

– Jakoś się nie wzruszyłam.

– Pawłowicz też nie. Odpowiedziała jej w tonie nieco zbywającym: „Myślę, że Pani Mama na pewno po swojemu Panią kocha/kochała. Nie każdy umie to okazać". Potem Emi złożyła Pawłowicz życzenia urodzinowe, na co ta odpisała równie ostrożnie: „Właśnie rozpoczęłam 67. rok życia i zbyt wielu marzeń już nie mam". I wreszcie zdesperowana niedoszła córka adopcyjna wysłała Krystynie penisa.

– Czyjego i po co?

– Cichockiego. „Pani Poseł, to prezes SO w Gliwicach. Myślę, że Prezes Jarosław Kaczyński powinien wiedzieć, co się dzieje w MS".

– Czekaj, czekaj… Czy „Mała Emi" oczekiwała, że Pawłowicz prześle zdjęcie fiuta Kaczyńskiemu?

– Najwyraźniej. Ale Krystyna ją zawiodła. „Za mało danych i weryfikowalnych konkretów". I potem jeszcze, kiedy Emilia znowu zmieniła zdanie i doszła do wniosku, że Cichocki jest czysty i szlachetny, napisała do Krystyny: „jak zraniona lwica atakowałam", a że „zawsze traktowałam Panią jak matkę, dlatego na Pani ręce składam prawdę" i „za wszystko b. przepraszam" – to ta zimna kobieta zbyła ją zdawkowym: „Nie ma za co mnie przepraszać". Czy do ciebie kiedyś jakiś elektorat napisał, że traktuje cię jak matkę?

– Matkę nie, ale ideał, idolkę jak najbardziej. A dawno temu jakiś Polak-katolik przysłał mi sznur, żebym się powiesiła.

– Jakże się cieszę, że nie skorzystałaś. Z kim bym na łamach rozmawiała o zdjęciach sędziowskich penisów?

senyszyn@wp.pl,
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 297

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl f5a368e4e4